



# Mój wołyński dzień





# Mój wołyński dzień

*Publikacja elektroniczna*

Monitor Wołyński

Łuck

2017

Mój wołyński dzień. – Wyd. 2, popr. z uwzględnieniem wyd. 1. – Łuck : Monitor Wołyński, 2017. – 58 s.

Przy współpracy Zenona Paszkowskiego (wyd. 1)

Redakcja: Wiktor Jaruczyk (wyd. 1), Natalia Denysiuk (wyd. 2)

Korekta: Natalia Denysiuk, Olga Szerszeń

Opracowanie graficzne i skład: Wołodymyr Chomycz i Grafin-Design (wyd. 1),  
Iryna Kanahejewa (wyd. 2)

Okładka: Zamek w Łucku z XIV wieku. Zdjęcia wykonano ok. 1910 r.

## Spis treści

|                                                           |    |
|-----------------------------------------------------------|----|
| Wspomnienia Wołyńskie.....                                | 6  |
| Barbara Maciejewska. Wołyń moich przodków.....            | 8  |
| Zenon Leopold Paszkowski. Mój wołyński dzień.....         | 19 |
| Ryszard Łysakowski. Lata szkolne.....                     | 27 |
| Ryszard Siewierski. Ostatnia noc Wolności.....            | 31 |
| Tadeusz Marcinkowski. Szczęśliwe dzieciństwo w Łucku..... | 35 |
| Ryszard Bujalski. Moje wołyńskie dni.....                 | 42 |
| Danuta Bałówna-Siwiiec. Wołyńska nostalgia.....           | 50 |
| Zofia Peretiatkowicz. Do Ziemi Wołyńskiej.....            | 56 |

## Wspomnienia Wołyńskie

Niezapomniana nasza Ziemia Wołyńska. Wspominamy Cię, Kraino naszego beztroskiego dzieciństwa. My, dzieci z kresowych domów miast i wsi, wracamy sercem i myślami do przeżytych na Wołyniu dni. I trudno nam o nich zapomnieć, tak jak i pocie:

*O, Wołyniu, coś mą krainą rodzinną,  
w której stawiałem kroki dziecka pierwsze.*

(Czesław Kuriata)

Trudno już dzisiaj wśród naszych współczesnych, doszukać się takich wzorców moralnych i patriotycznych, które wrosły w serca, dusze i umysły Wołyniaków z krwi i kości.

Wychowywani w patriotycznych, kresowych rodzinach, wynieśli z domów wielkie wartości, w tym umiłowanie naszej małej Ojczyzny – Wołynia. Potwierdzeniem tego są słowa naszej wielkiej poetki Marii Konopnickiej:

*Ojczyzna moja – to ta ziemia droga,  
Gdziem ujrzał słońce i gdziem poznał Boga,  
Gdzie ojciec, bracia i gdzie matka miła  
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.  
Na starych grobach, gdzie ojcowie moi  
Spoczęli, życiem strudzeni tułacze,  
Kłękam pod krzyżem, co nad nimi stoi,  
I płaczę...*

Też płakaliśmy, a żal i tęsknota za nią towarzyszą nam stale. Jak burzą miotani, żeglowaliśmy pod wiatr i przeciw złowrogiej fali, ale na szczęście wiatr historii oswobodził się z pęt i jest wolny jak ptak:

*Wiej wołyński wietrze  
Na wsze strony świata  
I stale o naszym  
Wołyniu opowiadaj.*

(Danuta Siwiec)

Wołyniacy, których serca są spowite tęsknotą, smutkiem i żalem, a zarazem wielką miłością do Kraju lat dziecięcych, nigdy nie zapomną swojej Drogiej Ziemi – Wołynia – naszej kochanej Małej Ojczyzny:

*Moja mała Ojczyzno  
Nad Ikwą, Styrem, Horyniem.  
Któż mi pokaże  
Piękniejszą Krainę?  
Urokliwsze krajobrazy?  
Żyźniejszą ziemię?  
I bogatsze lasy?*

(Danuta Siwiec)

Ci, którzy nie mają możliwości Jej odwiedzić, rozczylają się w czasopismach traktujących o Wołyniu, bo:

*To wspaniała uczta dla duszy  
Radość, co łzy wyciska, wzrusza.  
Dla tych, co tam być nie mogą,  
To cudowne podróże duchowe,  
Łuck, Równe, Dubno,  
To nasze ukochane strony.  
Wracamy sercem i myślami,  
Do tych co na wieki zostali.  
Boże! Gdybyśmy Ich zapomnieli,  
Nie jesteśmy godni Wołyńskiej Ziemi.*

*(Danuta Siwiec „Podziękowanie”)*

I my też dołączymy do tych, którzy tam spoczywają, ale nawet wtedy, gdy opuścimy ten ziemski padół, nie odejdziemy z Wołynia. Nasze dusze i serca będą się unosić nad Krainą mlekiem i miodem płynącą, tak jak od wieków, nad Zamkiem Lubarta i Katedrą Łucką unoszą się duchy przodków naszych i nie chcą stąd odejść, bo właśnie tu, obrały swe miejsce, i tu już na wieki pozostaną, modląc się do Boga, aby:

*Dał nam święte pojednanie  
Nasz wspólny Stwórco i Panie  
Spraw, by sąsiedzi odtąd żyli w pokoju,  
Każdy wyznając wiarę swoją.*

*(Czesław Kuriata)*

Poeta przypomni też o dawnym, zgodnym życiu wołyńskich sąsiadów, gdy wśród wieczornej, wiejskiej ciszy, niosły się w dali odbijane leśnym echem, pieśni w obu językach:

*O melodio moja wołyńska,  
Pieśni polska, pieśni ukraińska  
Wspólna nuta w tobie dźwięczy,  
Na cześć miłości wiecznej  
(Czesław Kuriata)*

*A cóż mamy do powiedzenia my – Wołyniacy?  
My dawni Wołyniacy,  
dziś rozsiani po świecie,  
chylimy się przed Tobą Chryste,  
jak falujące, żytnie łany  
i o zwycięstwo Dobra i Zgodę  
na ziemi Wołyńskiej  
Prosimy cię Panie  
I niech się tak stanie!*

*Opracowali: Danuta Siwiec, Zenon Paszkowski  
Kwiecień 2011 roku*

## Wołyń moich przodków

Przodkowie nasi urodzili się, żyli i pracowali na Wołyniu. Po opuszczeniu swych domostw, znaleźli się w Kraju nad Wisłą. Pozostawili nam, oprócz wspomnień i opowiadań o szczęśliwej młodości, kilka zdjęć z „tamtych czasów”, na których trudno już rozpoznać miejsca i ludzi. Przedstawiamy je mieszkańcom obecnego Wołynia. Może przypomną im ludzi i miejsca z młodości ich przodków.

Bardzo niewiele wiemy o ostatnich chwilach życia naszego Dziadka. Podobno ostatnie chwile spędził z inżynierem Romanowskim, gdyż ktoś przyjechał po Dziadka do domu dorożką, w której był inżynier Romanowski. Według przekazywanej w rodzinie informacji mieli jechać gdzieś most naprawiać. Nigdy już stamtąd nie wrócił.

Stanisława i Józef Starościak mieszkali w Łucku przy ulicy Radzywińskiej (Krasne). Stanisława, urodzona w okolicach Turczyna, po wyjściu za mąż za Józefa, około roku 1925 osiedliła się w Łucku.

Józef Starościak był budowlanцем. Współpracował z inżynierem Józefem Romanowskim z Dyrekcji Robót Publicznych w Łucku. Mieli swoją ekipę budowlaną, która budowała kościoły, cerkwie, i inne budynki użyteczności publicznych.

Państwo Starościakowie posiadali sześcioro dzieci, które kolejno uczęszczały do siedmioklasowej szkoły powszechnej im. Marii Konopnickiej w Łucku. Kierowniczką szkoły była pani Żókosiova, a wychowawcą oddziału pan Teodorczuk.

W roku szkolnym 1934–1935, szkołę ukończyła córka państwa Starościaków, Bronisława, razem z koleżankami: Lusią Holenko, Zofią Adamczyk i kolegą Piotrem Serafinos.

Motto:

„...Drzemia w nas nasi Przodkowie: nasi Ojcowie, Praojcowie, Babcie, Prababcie. Jesteśmy ich nurtem, ciągiem – dalszym ciągiem. Chociaż już nie wiemy jacy byli, jak przebiegała historia ich życia – już pomarli ci, którzy by coś na ten temat mogli powiedzieć. Ale to nie jest najważniejsze. Oni są w nas. Żyją w nas. Swoją odrębność, jedyność, niepowtarzalność budujesz nie za darmo, ale za trud, krwawicę, cierpienie, za ból, drobne i wielkie przeżycia, za pozytywne i negatywne doświadczenia, tragedie i sukcesy, podejmowane rozstrzygnięcia, decyzje – przewyciężając strach, wygodnictwo, lenistwo. Tworzysz swoją osobę, wykorzystując to, co otrzymałeś, podpierasz, przycinasz, wznosisz w górę.



*Józef Starościak*



Na ile Cię stać, na ile potrafiysz. Ale to wciąż tamten pień, tamta krew, tamta kość z kości. Drzemią w Tobie Twoi Dziadowie, Pradziadowie. Twoje Matki Pramatki. Wołają ku Tobie. Chcą żebyś był sobą. Żebyś z Ich krwi, z Ich kości zbudował swój kształt osobowości” (Z „Elementarza” ks. Mieczysława Malińskiego).

*W imieniu wnuków i prawnuków z Polski,  
opracowała Barbara Maciejewska  
2011 roku*



*Józef Starościak na ulicy Jagiellońskiej  
w Łucku*



*Józef Starościak w towarzystwie inżyniera  
Józefa Romanowskiego*



*Wojewoda wołyński Henryk Józewski (x), żona wojewody Julia Józewska (1), prezes Wołyńskiego Towarzystwa Krajoznawczego Franciszek Księżopolski (2), wicewojewoda wołyński Józef Śleszyński (3), sekretarz Wołyńskiego Towarzystwa Krajoznawczego Romanowski (4).  
Łuck, kwiecień 1932 roku*



*Józef Starościak z żoną Stanisławą na ulicach  
Łucka. 1 lutego 1928 roku*



*Prawdopodobnie ks. Karpiński*



*Na budowie. Szósty od lewej w jasnej czapce Józef Starościak*



*Na budowie. Józef Starościak siedzi na końcu w kapeluszu*



*Józef Starościak w kapeluszu i z teczką, na budowie szkoły lub gminy w Torczynie*



*Rodzina Starościaków.  
Siedzą w otoczeniu dzieci: Stanisława  
i Józef Starościakowie, między nimi  
Bronisława Starościak.  
Rok 1929 lub 1930*



*Pierwsza Komunia Święta Bronisławy Starościak (ze świecą przy ustach)*



*Zdjęcie z ostatniej klasy szkoły powszechnej.  
Bronisława Starościak w górnym rzędzie trzecia od lewej. Wiosna 1935 roku*





*Kolumna młodzieży na ulicach Łucka. Bronisława Starościak druga od końca*



*Defilada 3 Maja przed Urzędem Wojewódzkim w Łucku*



*„Zakazany klomb” – tak żartobliwie nazywała go młodzież w Łucku.  
Po prawej Bronisława Starościak. 21 czerwca 1939 roku*



*Portret Bronisławy Starościak  
z okresu Gimnazjum Krawieckiego*



*Nad rzeką Trościanką.  
W środku Bronisława Starościak*



*Bronisława Starościak (w białej bluzce)*



*Nad rzeką Trościanką. Za dziewczyną w białym czepku – Bronisława Starościak*





*Uscitug. Po lewej ręce pielęgniarki Bronisława Starościak*



*Uscitug. Po lewej ręce pielęgniarki Bronisława Starościak*



*Zdjęcie z wesela Stanisławy i Józefa Starościaków. 1917 rok*

## Mój wołyński dzień

Przyszedłem na świat w zacisznym, białym domku w Łucku jako pierwsze i jedyne dziecko.

Z późniejszych opowiadań dowiedziałem się, że rodzice długo oczekiwali na potomstwo. Lekarz w Łucku o nazwisku – Biłobran, zalecił nawet leczenie uzdrowiskowe. Rodzice posłuchali go i zaczęli wyjeżdżać do miejscowości leczniczych, w tym często do Żegiestowa.

Zabiegi te niewątpliwie dały rezultat, bo oto pewnego pięknego poranka czerwcowego 1934 roku, przyszło na świat dziecko, długo oczekiwane przez rodziców i sprawiło szczególną radość Ojcu – bo był to syn.

Ochrzczono go w Katedrze łuckiej imieniem Zenon, gdyż takie imię przypisane było następnemu dniu po dacie jego urodzenia. Natomiast drugie imię otrzymał po Ojcu – Leopold.

Dziecko zmieniło gruntownie tryb życia w domu przy ulicy Ogrodowej 6. Oprócz Mamy – nauczycielki, która i tak już od dłuższego czasu nie pracowała, zjawiała się w domu opiekunka do dziecka, nazywana wtedy – nianią.

Zapamiętałem ją jako dziewczynę o długich, czarnych warkoczach (kosach), w wieku chyba 18–20 lat, na którą wołałem: „Nadia”.

Jak się później dowiedziałem, nazywała się Nadzieja Szepel. Mieszkała z rodzicami o imionach Sozont i Glikieria we wsi Stawki, gmina Poddębce, gdzie aktualnie Ojciec – geometra – wykonywał pomiary. Na jego prośbę, chętnie zgodziła się zamieszkać w mieście, aby pomagać w opiece nad nowonarodzonym...

I tak, wśród czerwcowych kwiatów, kochających rodziców i pracowitej niani, rosło dziecko, nabierając sił do zmierzenia się z niełatwym życiem.



*W ogrodzie, w towarzystwie Mamy i Nadi,  
która zawzięcie ceruje*



*Narożenie mojego domku,  
a w oddali widać dom sąsiada Władysława Przystasia*

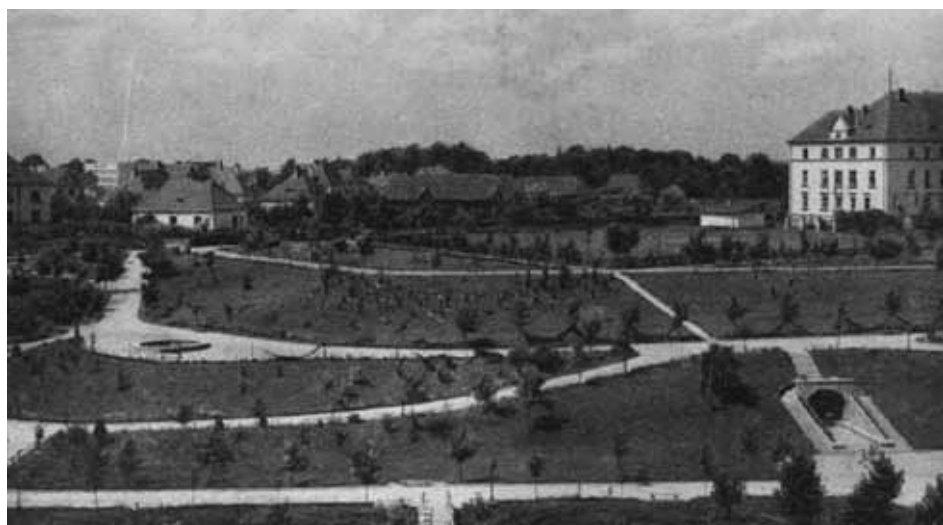
Pod opieką Rodziców, odbywałem spacery po ulicach Łucka, odkrywając coraz to nowe miejsca. Już z okien domu i z ogrodu wzrok mój padał na bliższe i dalsze okolice tej części Łucka, zwanej Wólką.



*Widok z mojego ogrodu,  
na kamienicę Grzegorza Podolskiego  
po przeciwnej stronie ulicy Ogrodowej*



*Patrząc w przeciwną stronę, widziałem  
gmach Macierzy Szkolnej, a na prawo –  
drzewa Cmentarza Katolickiego i część  
ulicy Gimnazjalnej. Na dole zamarznięte  
rozlewiska rzeki Sapałajówki i chłopcy  
ślizgający się na łyżwach*



*Były tam ławeczki, ścieżki i piaskownice, w których bawiłem się całymi godzinami, podczas gdy  
Mama, siedząc na ławeczce, rozmawiała ze swymi przyjaciółkami. W tle widać domki Kolonii  
Urzędniczej, a na prawo gmach Urzędu Ziemskiego, w którym pracował mój Ojciec Leopold*

Później w towarzystwie Mamy albo Taty, zacząłem wychodzić na ulice Łucka. Pierwsza, najbliższa trasa, to spacer do Parku Miejskiego, położonego po drugiej stronie ulicy Szopena.

Gdy nieco dorosłem, wyprawy poza dom rodzinny stały się dłuższe i poważniejsze. Jeżeli była odpowiednia pogoda, to znaczy dość ciepło, cała rodzina udawała się nad Styr, w rejon przystani wioślarskiej. Zaopatrzywszy się w koszyki z jedzeniem i odpowiednie stroje, wyruszaliśmy piechotą w stronę Styru. Było to chyba gdzieś w okolicach Zamku, gdyż szliśmy z ulicy Ogrodowej, przez ulicę Matejki, przecinając Aleje Chrobrego dalej po Szkolnej i na skróty ścieżką wśród rozlewisk, łąk i bagien. Stale towarzyszył nam widok potężnych wież i murów Zamku, który od dzieciństwa tak mi wrósł w pamięć, że nigdy nie pytałem Ojca co to jest?

Historię Zamku Lubarta poznałem o wiele później.



*Zamek Lubarta od strony łąk*



*Przystań wioślarska w Łucku*

Droga dostępna była tylko podczas suchego lata. Przez pewien czas ścieżka prowadziła wśród trzciny i szuwarów, o wiele wyższych ode mnie. Co za frajda dla chłopaka – prawie jak w jakiejś puszczy. Potem podejście pod wał i... nagle – rozbłyska spokojna, zielono-niebieska tafla wody.

To rzeka Styr.

Tata wybrał dogodny brzeg rzeki, wymościł go połamanymi łodygami tataraku, grubymi – jak ręka dziecka. Rozniósł się aromatyczny zapach tataraku, który pamiętam do dziś. Mama w tym czasie rozłożyła opodal koc i otworzyła koszyk z wiktuałami, aby rodzina posiliła się po dość długim spacerze. Po odpoczynku ruszyliśmy do wody. Najpierw po kostki, później do pasa i... dalej dziecku nie wolno. Tata bierze mnie na ramiona i trzymając mocno, wśród śmiechów i ochlapywania się czyściutką jak łąka wodą, oddala się od brzegu. Mama woła przerażona – Tu-siu – wracaj, tam za głęboko!!! Tata zawra-

ca do brzegu; usadowił mnie na wymoszczonej liśćmi tataraku jak by ławeczce, na której grzecznie siedziałem, prawie do pasa zanurzony i machałem rozkosznie nogami w wodzie. W tym czasie Mama z Tatą pływali sobie nie za daleko, żeby mieć dziecko na oku. Ojciec – urodzony w pobliskim Czeknie, całe dzieciństwo spędził nad Styrem, pływał więc doskonale.

Oprócz wypadów na „dzikie kąpielisko” czasami rodzice zabierali mnie do nowo-budowanego obok nad brzegiem, drewnianego pawilonu.



Pamiętam, że za pewną opłatą Tata dostawał klucz, z którym wchodziliśmy do długiego, wąskiego korytarza. Ściany łącznie z podłogą wyłożone były sosnowymi deskami, pachnącymi żywicą. Zapytałem Ojca – dokąd my idziemy – przecież mieliśmy się kąpać? Ojciec nic nie odpowiedział, tylko rzeczonym kluczem otworzył jedne z ponumerowanych drzwi, weszliśmy do środka i oczom moim ukazała się rzeka w całej rozciągłości, a do wody prowadziły wygodne, drewniane schody. Drzwi prowadziły do kabiny osłoniętej z trzech stron, a czwarta – odkryta, była właśnie początkiem tych schodów. Wygodnie przebraliśmy się w stroje kąpielowe i... hajda do wody!

W drodze powrotnej o mało nie zasnąłem z wrażeń i zmęczenia.

W zimie lub w dni chłodniejsze, chodziliśmy do Katedry i do miasta, ulicą Jagiellońską. Na tej ulicy, będącej głównym „spacernikiem” mieszkańców miasta, „grasowali” uliczni fotografowie.

Razem z Mamą i Tatą, chodziliśmy w niedziele i święta do Katedry dwojaką drogą. W lecie, przy suchej pogodzie – na skróty; z Ogrodowej na Matejki, przecinaliśmy aleję Chrobrego na ulicę Szkolną w dół i dalej łąkami wśród bagien i starych korycisk Styru. Zawsze była tam jakaś ścieżka, jakieś kładki przez wodę i tak dochodziło się do skarpy Starego Miasta.



*Spacery z Mamą w zimie*



*Spacery z Mamą w lecie*

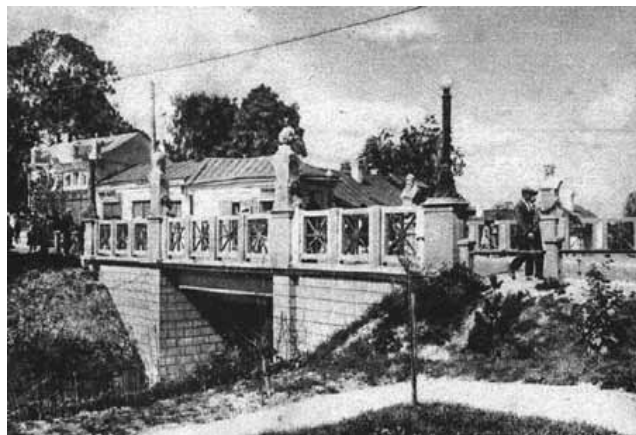
Zawsze były tam schodki, po których wychodziliśmy w rejon Placu Zamkowego i ulicy Katedralnej, gdzie stała Katedra. Było to nieco bliżej niż ulicą Jagiellońską, ale tylko przy suchej pogodzie. Wiosna i jesienią przejście tą drogą było niemożliwe.

W okresie szarug szliśmy suchą nogą po ulicy Jagiellońskiej, przechodziliśmy przez kamienny most, ozdobiony popiersiami.

Pytałem Ojca:

– Tato – co to za Panowie stoją na poręczy mostu?

Tata odpowiedział: – To są popiersia wielkich Polaków – Słowackiego, Czackiego, Sienkiewicza i Kraszewskiego.



*Most Kazimierza Wielkiego,  
dawniej most Bazyliński*



*Katedra w Łucku*

Niewiele z tego zrozumiałem, ale popiersia te zapisały się w mej pamięci do dzisiaj.

Po przejściu przez most na ulicę Bazylińską, a potem na lewo Katedralną, dochodziliśmy do Kościoła.

W drodze powrotnej „zahaczaliśmy” o jedną z licznych cukierni przy ulicy Jagiellońskiej, np. Rozaliniego, gdzie Tata fundował nam przepyszne lody lub kremówki (w zależności od pory roku), a na wynos, oprócz ciastek, najlepszą na świecie chałwę, której smak czuję do dziś...

Tak było od święta. A w zwykłe dni, czasami, gdy Ojciec zostawał w mieście załatwiać jakieś sprawy (pracował jako mierniczy przysięgły w terenie całego Wołynia i nie był w domu nieraz tygodniami), towarzyszyłem mu w wyprawach na miasto.

Pamiętam kilka takich wypraw.

Ojciec miał zabytkowy, wahadłowy, gabinetowy zegarek, który stał zawsze na Jego biurku. Oczywiście, miałem zakaz ruszania go. Nie wiem, czy bez mego udziału, czy



*Wyprawy z Ojcem.  
Ulica Jagiellońska*



miałem coś z tym wspólnego, raz przestał chodzić. Tata trochę w nim pogrzebał, podejrzliwie spojrzał na mnie i powiedział:

– Chodź, zaniesiemy zegar do naprawy do zegarmistrza.



Gazeta z przedwojennego Łucka



Akt zgonu  
Mirosławy Paszkowskiej

W drugiej połowie naszego domku przy ulicy Ogrodowej mieszkały dwie siostry Ojca: starsza – Malwina i młodsza – Mirosława. Obydwie krawcowe – szyły odzież dla ludzi zwłaszcza z pobliskich wsi Hnidawy i Rowańce.

Mirosława stękając ciągle na zapiecku w swojej kuchni, słabła coraz bardziej i nie doczekawszy repatriacji, zmarła w sierpniu 1943 roku, w czasie okupacji Łucka przez

Mama ubrała dziecko jak należy, pocałowała i poszliśmy spacerkiem do miasta. Okazało się, że pan zegarmistrz nazywa się Witwicki, i siedzi w niedużym pomieszczeniu przy ulicy Jagiellońskiej (koło Ogrodu Miejskiego). Stolik miał zavalony różnymi drobiazgami, a najwięcej było przeróżnych zegarów. Pooglądał przyniesiony zegar, trochę pokręcił głową, coś Tatowi powiedział, ale zegar zostawił u siebie.

W drodze powrotnej Tata kupił gazetę, oczywiście z innej daty niż ta na zdjęciu, ale mam tylko taką reprodukcję.

Po paru dniach Ojciec przyniósł zegar, który chodzi prawie do dziś. Dlatego prawie, że w dobie elektroniki, nikomu nie chce się nawet nakręcić sprężyny...

Druga wyprawa, którą pamiętam, to również z Tatą, do sklepu żelaznego po jakieś gwoździe, czy coś podobnego. Na placu Bazylińskim, w starej kamienicy był wąski sklep, do którego wchodziło się po kilku wysokich (jak dla mnie) schodkach. W środku było ciemno i ponuro. Za ladą stał jakiś Pan. Ale najciekawszym było to, że Tata powiedział do mnie, wskazując na tego Pana:

– Popatrz, to jest Twój Ojciec Chrzestny!

Nic nie powiedziałem, ale Pan zaczął podziwiać mnie, mówiąc:

– Aleś urosł – a pamiętam, jak trzymałem Ciebie na rękę do Chrztu Świętego! Jak się okazało, był to pan Piętkowski, mąż właścicielki sklepu żelaznego i kolega mojego Ojca.

Gdy po 17 września 1939 roku Łuck został okupowany najpierw przez Sowieców, a potem Niemców, moje wędrówki po mieście ustały. Czasem tylko towarzyszyłem rodzicom w kolejkach pod nielicznymi sklepami, gdy chcieli zakupić choć trochę niezbędnej żywności.

Niemców. Pamiętam, jak furmanka wioząca nieheblowaną trumnę leżącą na słomie, zjechała z górkę z ulicy Ogrodowej na Szopena, kierując się na Cmentarz Katolicki za Kolonią Urzędniczą. Za trumną szedł Tata, trzymając mnie za rękę. Więcej nikogo nie było... Na cmentarzu, gdy trumnę składano do grobu, niedaleko grobowca Jana i Olimpii Paszkowskich, ksiądz kazał mi podejść do dzwonnicy i ciągnąć za sznurek dzwonu... A teraz nawet cmentarza już nie ma...

Wiosną 1944 roku, podczas przesuwania się linii frontu przez miasto, Niemcy zbombardowali większość ulic. Miasto legło w gruzach. Nawet gmach Kapituły Katedralnej został zbombardowany, a wieża Katedry pękła na dwie części.

Wśród mieszkańców miasta chroniących się przed bombami w podziemiach Katedry, była też moja rodzina. Wiele osób zginęło zasypanych gruzami. Myśmy ocalili. Pamiętam zarówno przebywanie w ciemnych, cuchnących lochach, w zbitym tłumie ludzi, jak i wielokrotne przechodzenie z ulicy Ogrodowej do Katedry i z powrotem, wśród dymiących zwalów gruzów Alei Bolesława Chrobrego.

Z początkiem lipca 1945 roku, gdy nastał zapowiadany przez Sowietów dzień wypędzenia, Ojciec wyszedł, aby poszukać jakiejś furmanki do przewiezienia paru paczek i tobołków na stację kolejową. W tym czasie pod główne wejście od ulicy zjechał gazik Armii Czerwonej w którym przyjechał rosyjski lejtenant z żoną i bezpardonowo oświadczył, że to teraz jest ich dom i będą tu mieszkać. Wy się natychmiast wynoście... „udiraj w Polszu!” Nie chciał nawet pozwolić na wyniesienie tylnymi drzwiami spakowanych tobołków.

Mama rozplakała się. Wyszła na ogródek oczekując przyjścia Ojca. Wzrok jej padł na kwitnące kwiaty. Najbliżej była maciejka...

Pamiętam, jak Mama szlochając, pełnymi garściami wyrywała kwiaty, rzucając je na ziemię i depcząc. Uwiesiłem się jej na szyi, mówiąc: „Mamo, nie płacz, nie rwij, szkoda kwiatków – takie ładne...”

Nadjechał Tata furmanką...

Pewnie coś załatwił z owym lejtenantem (znał doskonale język rosyjski i psychikę żołnierzy), bo zaczęliśmy zaraz wkładać tobołki na wóz i odjechaliśmy w kierunku stacji kolejowej. Mama ciągle szlochała, zatykając oczy – nie popatrzała się nawet po raz ostatni na nasz dom. Tak rozpoczęła się nasza wędrówka do Polski.

Przywiezione furmanką tobołki, Ojciec przy pomocy furmana, Mamy i Ciotki Malwiny, która z nami jechała, znosił na rampę kolejową znajdującą się tuż koło torów.

Obok nas znajdowali się inni ludzie, dzieci, starcy, a nawet zwierzęta: kozy, krowy i inne. Rozlegały się odgłosy rozmów, płaczu dzieci i kobiet, uzupełnione poszczekiwaniami psów i porykiwaniem krów.



*Dworzec kolejowy w Łucku*

Nie pomnę, jak długo tam koczowaliśmy – kilka czy kilkadziesiąt godzin. W każdym razie, kochający Rodzice zapewnili dla mnie wystarczającą w tych warunkach opiekę.

Nie marzłem, bo letnia pora sprzyjała, a przygotowane jeszcze w domu pożywienie było wystarczające.

Nadjechała wreszcie czarna lokomotywa, dudniąc i psykając parą, ciągnęła za sobą niezliczoną ilość brudno-rudych wagonów bydlęcych i, zgrzytając hamulcami, rozpoczęła zwalnianie. Ludzie ożygli się, mówiąc:

– Chwała Bogu, że dali wagony z dachem, a nie platformy, co się zdarzało.

Każdy rzucił się do wagonów najbliższ zatrzymujących się. Ojciec w jakiś sposób wybrał taki wagon, do którego nie wprowadzano zwierząt. Wraz z nim rozpoczęło załadunek kilka kocujących w pobliżu rodzin. Pod koniec pracy, posadzono mnie dość wysoko, na jakiś miękkich tobołkach, z daleka od drzwi (aby nie zawiało – drzwi były z reguły cały czas otwarte). Po pewnym czasie buchnął czarny dym z komina lokomotywy, pociąg szarpnął i ruszył.

Był to chyba 3 lipca 1945 roku, po południu.

Po niedługim czasie, pociąg jadąc w kierunku Brodów, otoczywszy półkołem miasto, znalazł się na zielonych łąkach podmiejskiej wsi Hnidawy.

Przez otwarte ciągle drzwi, zobaczyłem za łąkami niebieską wstążkę Styru, a za nim, oświetlone zachodzącym słońcem, zabudowania Starego Miasta Łucka, wśród których wyróżniały się białe mury Kolegiaty i wieże Katedry Św. Piotra i Pawła – mojego Kościoła, z którym tyle mnie łączyło – Chrzt, Komunia Święta, a potem cudowne ocalenie w podziemiach...

Łzy mi stanęły w oczach. Widok ten zapamiętałem na zawsze.

*Zenon Leopold Paszkowski,  
urodzony w Łucku Wołyński,  
marzec 2011 roku*

### Epilog



Pierwsza strona



Druga strona

### Karta ewakuacyjna

## Lata szkolne

Życie młodzieńcze w Łucku w okresie międzywojennym upływało nam w atmosferze pewnych niedostatków materialnych. Były jednak te lata dla nas, młodych chłopaków niezmiernie bogate w doświadczenia i przygody. Czysta woda Styru opływała węzowatym zygzakiem trzy ćwierci miasta Łucka.

Na przedmieściu Krasne koło mostu była obszerna przestrzeń po obu stronach rzeki na plażowanie się. Tam często zbierała się młodzież z całego przedmieścia, a nawet z okolicznych wiosek, aby popływać w czystej wodzie i pobawić się na piaszczystych brzegach.

Było też dużo miejsca po obydwu stronach rzeki, gdzie można było opalać się na słońcu, czy też zorganizować różne gry młodzieżowe. Graliśmy w piłkę nożną, w „dwa ognie” i urządzaliśmy też zawody z nagrodami w bieganiu, w skokach w dal, wzwyż itp.

Jeszcze jedną rozrywką były pokazowe jazdy na rowerze, w których ja byłem jednym z najlepszych. W dodatku do tych rozrywek, organizowaliśmy cały szereg imprez, aby urozmaicić życie, a jednocześnie przysporzyć sobie doświadczeń i przygód. Jedną z takich imprez były wycieczki łódkami po Styrze. Na te wycieczki rzeką zabieraliśmy tylko najbardziej niezbędne artykuły, takie jak np. zapalki, sól, chleb, smalec lub słoninę, łyżki, noże i widelce do jedzenia, stare metalowe talerze wojskowe, patelnię i ze dwa garnki do przyrządzania posiłków.



*Autor w Łucku na Wołyniu. 1939 rok*



Długa linka (ok. 30 m) też była potrzebna, bo pod prąd rzeki ciągnęliśmy łódkę przez 15–20 km. Wycieczki te trwały normalnie dwa lub trzy dni. Zmienialiśmy się przy ciągnięciu łódki; podczas gdy jeden z nas siedział w łódce i sterował (czy też wiosłował) w miejscach, gdzie zatoczki wchodziły głęboko w ląd albo gdzie rzeka miała ostre zakręty, reszta towarzystwa szła wzdłuż brzegu.

Braliśmy wędkę, zapasowe haczyki, siatki do pobierania ryb i naczynia na ich przetrzymywanie. Były one naszym głównym posiłkiem. Wśród złowionych ryb mieliśmy białe leszcze, smalcówki, okonie, a czasami i szczupaka udało się nam złapać. Węgorzami też nie gardziliśmy. Na przynętę używaliśmy robaków (glist) wykopanych w polu albo muchy domowe, które łapaliśmy w chatach wieśniaczych.

W nocy spaliśmy pod gołym niebem, na trawie lub pod kopą siana. Mieliśmy dużo przyjemności w rozpoznawaniu na wrywki różnych konstelacji gwiazdnych takich jak „Dużej Niedźwiedzicy”, „Mlecznej Drogi” itp., albo też spostrzeganiu „spadających gwiazd” i stawianiu sobie różnych życzeń. W czasie dnia słońce opalało nas, skowronki latające wysoko wychwalały Stwórcę pięknymi trelami. Jaskółki unosząc się wdzięcznym lotem nad nami spokojnie gromadziły żywność dla swoich piskląt ukrytych w gniaздkach wygrzebanych w wysokich, glinianych, przybrzeżnych urwiskach.

Wszystko to wydawało się takie piękne, tyle przedziwnej natury otaczało nas wszędzie ze wszystkimi swymi cudami. Bóg chyba był blisko nas, bo odczuwaliśmy jego pokój i szczęście.

Ponieważ podróż powrotna była z prądem rzeki, wszyscy płynęliśmy łódką, wiosłując w miejscach, gdzie prąd był zbyt powolny. Gdzie prąd był wystarczająco szybki, to jeden z nas tylko sterował, a wszyscy podziwialiśmy przyrodę i marzyliśmy o następnych wypadach tego typu, śpiewając wesołe, młodzieńcze piosenki.

Należałem do dwóch organizacji młodzieżowych. Jedną z nich była drużyna harcerska. Uczyliśmy się wielu sprawności praktycznych takich jak gotowanie, szycie i w ogóle poznawaliśmy różne sposoby radzenia sobie na łonie natury. Takie specjalne, bliskie, osobiste stosunki jakie panowały wśród całej naszej „rodziny” harcerskiej, nauczyły nas współpracy i współżycia z innymi ludźmi.

Druga to „Sokół” – organizacja, która miała głęboki i dalekosiężny wpływ na moje życie. Była to głównie organizacja sportowo-gimnastyczna, której mottem było: „W zdrowym ciele zdrowy duch”.

Służyłem także do Mszy św. w Katedrze w Łucku. Z powodu tego obowiązku musiałem wstawać wcześniej dwa lub trzy razy w tygodniu i iść piechotą do kościoła z 5 km. Wyuczenie się łacińskich odpowiedzi do Mszy św. nie przedstawiało dla mnie żadnych większych trudności. W ogóle lubiłem być w kościele i śpiewać hymny i pieśni kościelne po polsku i po łacinie. Lubiłem także chodzić na uroczyste procesje kościelne, np. na święto Bożego Ciała lub Matki Bożej Gromnicznej.

Kiedy miałem 12 lat, Władek, mój kuzyn i jego żona Oleńka, postarali się dla mnie o nauczyciela do gry na skrzypcach. Bardzo mi się podobało granie na skrzypcach i oddawałem się lekcjom tym z wielkim entuzjazmem. Mój nauczyciel wychwalał mnie często mówiąc, że mam specjalny talent i słuch do muzyki, gdy podczas ćwiczeń gry byłem całkowicie skoncentrowany. Nie pamiętam czy mnie kiedyś przepowiedział, że miałem

wyrosnąć na wirtuoza, ale polubiłem swoje skrzypce; chętnie spędzałem dodatkowe godziny na nauce gry. W okresie Świąt Bożego Narodzenia umiałem już grać dosyć dobrze kolędy i inne rytmiczne piosenki popularne w tym czasie.

Pomimo tych wszystkich zajęć, zawsze znajdowałem czas i energię na różnego rodzaju niewinne (?) a wesołe żarty i zabawy z grupą kolegów. Na górze przy ulicy Rogowej, gdzie Rogowa miała odgałęzienie w kierunku ulicy Górnej, było stare, olbrzymie drzewo wiązu. Dużo ludzi przechodziło pod tym drzewem w drodze z miasta do domu. Wieczorem czasami chowaliśmy się w krzakach po przeciwnej stronie ulicy, jakieś 30 do 40 m od drzewa i rzucaliśmy grudki ziemi wysoko na drzewo, kiedy ludzie przechodzili pod nim. Wówczas przechodnie zaglądali na drzewo, wyęźali wzrok, aby nas zobaczyć i grozili nam, oczywiście, że nas ściągną stamtąd i złapią. Dla nas to była wielka uciecha i wydawało się nam, że był to wspaniały żart.

Pewnego razu w pięciu zorganizowaliśmy wyprawę do potajemnych korytarzy podziemnych w średniowiecznym zamku księcia Lubarta. Tunele te, jak dowiedzieliśmy się, łączyły zamek z budynkami konwentu zakonnic i z Katedrą. Ponieważ wstępne nasze badania ustaliły, że w tunelach nie było elektrycznego oświetlenia, wzięliśmy ze sobą świeczki i zapalki. Odległość pomiędzy zewnętrznymi murami zamku i podziemnymi lochami Katedry miała około pół kilometra. Szliśmy ostrożnie chyba przez pół godziny przez ten ciemny, podziemny korytarz, gdzie podobno duchy mieszkańców zamku i Katedry z poprzednich wieków, odprawiały pokutę przed pójściem do czyścica. Pod nogami napotykalśmy stare ludzkie kości. Na wystęпах w ścianach co jakiś czas czaszki ludzkie przypatrywały się nam i wydawało się, że jakby miały różne nastroje; ale zależało to od kąta padania promienia słabego światła naszych świeczek.

Wydawało się nam, że niektóre „twarze” tych czaszek ostrzegały nas, żebyśmy się nie pchali w nieznane nam miejsca, gdzie właściwie nie powinniśmy być. A my dalej przepychaliśmy się przez zawieszone przez całą szerokość tunelu wielowarstwowe sieci pajęczyn z misternie ułożonymi wzorami. Właściciele tych arcydzieł sztuki początkowo wrogo nas obserwowali, kiedy zbliżaliśmy się do ich sieci, a potem bardzo niechętnie znikali gdzieś w ciemnościach. Mimo woli zastanawiało mnie to wiele razy, jak te wielkie pająki potrafiły w zupełnej ciemności upleść tak olbrzymie sieci i zawiesić je poprzez całą szerokość i wysokość tunelu. Musiało im zabrać strasznie dużo czasu wykończenie takiej roboty, a my zwaliliśmy to bez wahania. Dlatego chyba można było wyczuć, że zmykały nam z drogi z wielkim gniewem.

A my szliśmy dalej, niby bez strachu, ale każdy przecież starał się być jak najbliżej kolegi poprzedzającego go ze świeczką w rękę, bo wszyscy jednakowo odczuwaliśmy wewnętrzne dreszcze strachu. Na wszelki wypadek co jakiś czas żegnaliśmy się, aby odstraszyć złe duchy z naszej drogi.

Nagle usłyszeliśmy jakiś przenikliwy pisk, gdy zastraszony nietoperz zerwał się ze snu i zaczął nawigować pomiędzy naszymi głowami. To znowu pod nogami, ni stąd ni zowąd wyskoczył szczur, albo w pogoni za jakąś ofiarą, albo też w przestrachu przed nami. Szczur rozbudził śpiące pająki i zniknął tak szybko jak się zjawił. A my wszyscy odruchowo natychmiast zbliżyliśmy się jeden do drugiego.



W pewnym miejscu tunel zakręcił i już prawie mieliśmy dosyć tego świata ciemności. Zauważyliśmy jednak otwór w ścianie, który prowadził do studzienki, a w studziencie zauważyliśmy inny otwór jakieś dwa metry nad podłogą. Oczywiście jako „nieustraszeni” piraci musieliśmy zbadać takie nadzwyczajne wydarzenie.

Wywindowano najmniejszego z grupy (mnie) na ramionach najwyższego, abym rozpoznał co tam jest. Kiedy moja świeczka uspokoiła się na tyle żebym przy jej drgającym świetle mógł rozeznaczyć się w terenie, spojrzałem przez otwór, w którym siedziałem i zobaczyłem całą ścianę półek, na których leżały butelki. Zameldowałem o swoim odkryciu dowódcy ekspedycji: „To wygląda na piwnicę z winem!” I miałem rację, bo kiedy kazano mi podać na dół jedną butelkę do inspekcji, dowódca przeczytał naklejkę i natychmiast wydał dokładny rozkaz: „Podaj trzy butelki”. Podałem, wtedy mnie opuścili i zaczęliśmy szukać powrotnej drogi do wyjścia pod zamkiem Lubarta.

Kiedy nareszcie wyszliśmy z ciemności, śpieszyliśmy się, aby być jak najprędzej na swoim terytorium, na łące koło naszych domów. Tam od razu otworzyliśmy dwie butelki i każdy z nas pociągnął sobie kilka łyków. Tak – było to kościelne wino bardzo starego rocznika i po krótkim czasie byliśmy wszyscy bardzo weseli i dość pijani.

*Fragment książki pt. „Syberyjskie wizje”*

*Ryszarda Łysakowskiego,*

*wydanej w Chicago w 1987 roku*

## Ostatnia noc Wolności

Nazywam się Ryszard Siewierski. Poniżej jest krótki wycinek z mojego 11-letniego życia na Wołyniu w Kowlu nad Turią.

Ta tragicznie smutna noc zaczęła się już 4 lata wcześniej, 12 maja 1935 roku.

Powód: śmierć Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Kraj okrył się żałobą. Miasto Kowel smutne od żałoby i kiru. Miałem wtedy 10 lat; byłem uczniem siedmioklasowej szkoły powszechnej im. Tadeusza Kościuszki w Kowlu. Byłem zuchem w gradacji: zuch, harcerz, orlęta i strzelec.

Na akademii żałobnej w szkole powszechnej im. prof. Ignacego Mościckiego, zadałem pytanie prelegentowi:

– Druhu, kto nas obroni przed bolszewikami?

– 50 Pułk Strzelców Kresowych z generałem Juliuszem Drapellą – padła odpowiedź. Taka jednostka stacjonowała w Kowlu.

Na zakończenie akademii zabrzmiał marsz żałobny:

*To nieprawda, że Ciebie już nie ma.*

*To nieprawda, że jesteś już w grobie.*

*Chociaż płacze dziś cała polska ziemia,*

*Cała Polska ziemia dziś w żałobie.*

Miałem starszego brata Tadeusza, który był działaczem Związku Strzeleckiego w Kowlu, a później był żołnierzem kowelskiej jednostki. On to po raz pierwszy zabrał mnie na strzelecką, patriotyczną akademię, gdzie chór śpiewał pieśni, z których trzy mnie urzekło.

Pierwsza:

*Uli-duli,*

*A jeżeli padnę od kuli,*

*Pokłońcie się mojej matuli,*

*Pokłońcie się tacie i ziemi,*

*Powiedzcie, żem tęsknił za nimi.*

Druga:

*Nie dbam jaka spadnie kara,*

*Mina, Sybir czy kajdany.*

*Zawsze ja wierny poddany*

*Pracować będę dla cara.*

Trzecia:

*Naprzód, drużyno strzelecka,*

*Sztandar do góry swój wnieś!*

*Żadna nas siła zdradziecka*

*Zniszczyć nie zdoła, ni zgnieść.*



Generał brygady  
Juliusz Alfred Drapella



Pomnik  
Marszałka Piłsudskiego  
w Kowlu

Czas szybko leci; akademie, defilady trzecio-majowe, a szczególnie wielkie, błękitne manewry wojska, z defiladą w Łucku dają przekonanie, że nie oddamy „ani guzika”.

Zbliża się rok 1939. Mieszkamy blisko dworca PKP przy ulicy Dąbrowskiego. Jest to ośrodek kolejowy; pięć budynków murowanych i dwa baraki.



KOWEL – Dworzec kolejowy

*Stacja kolejowa w Kowlu. Widziała ona wiele wojen, transporty żołnierzy do niewoli, cywili na Syberię, żołnierzy sowieckich na fińską wojnę w latach trzydziestych*

Ulica biegnie równolegle z torami. Jest tam także noclegownia obsługi transportu PKP. W sierpniu nasilają się niepokojące informacje w gazecie „Dzień dobry” i Polskim Radiu, o zagrożeniu wojennym. Jedyne radio jest w naszym posiadaniu; słuchający ludzie nie mieszczą się w mieszkaniu. Ojciec wystawia radio na parapecie okiennym. Słuchacze zbierają się w ogródku, jest piękna pogoda. Niepokój budzi zwiększony ruch na stacji PKP w Kowlu. Jest to stacja węzłowa, dwustronne perony, wejście na stację tunelem. Na bocznicach kolejowych zatrzymuje się wiele transportów kolejowych. W końcu sierpnia kolega woła:

– Rysiek, chodź, na rampie ładuje się Wojsko Polskie.

Jestem na rampie:

– Panowie – gdzie jedziecie?

– Na wojenkę, bić Hitlera!

Zaglądamy do niektórych wagonów kolejowych; przegania nas żandarmeria.

Na drugi dzień idziemy na sąsiednią ulicę Kołodnicką: tam starsi kopią zygzakowate rowy przeciwbombowe. Wieczorem ojciec poucza, że jak będą naloty, to żeby nie wchodzić razem do jednego rowu, aby bomba nie zabiła nas wszystkich; było nas 7 osób.

Są już uciekinierzy z Poznania, Bydgoszczy, Śląska. Zmęczeni idziemy spać.

1 września 1939 roku. Budzi mnie wielki huk. Jest godzina 6 rano. Wybiegam w majteczkach na podwórko, gdzie jest sporo ludzi. Krzyczą: „Wojna!”

Kolejarze proszą o włączenie radia, mama to robi, bo nie ma ojca. Radio potwierdza, że Niemcy napadli na Polskę i bombardują cały kraj. Jedna bomba spadła przy ulicy Kołodnickiej, inne podobnie na „drugi Kowel” i miejscowość Koszary. Niemcy mieli stare mapy, według których były tam składy amunicji.

Rano przyjeżdża brat mamy z Radomia. W Kowlu robi się tłok. Ludzie otwierają wagony, kradną szynki, obuwie i spirytus z cystern. Nikt na to nie reaguje. Są informacje, że drugi silny opór wojska polskiego przeciwko Niemcom będzie na rzece Bug.

W obawie przed bombami, uciekamy trzy kilometry od Kowla, do lasu. W lesie jest sporo ludzi, zatrzymują się rozproszone, małe oddziały wojska z bronią i bez broni. Są to oddziały stacjonujące bliżej sowieckiej granicy.

Wieczorami wracamy do miejsca zamieszkania. Nalotów niemieckich już nie ma. Ojciec z transportem pojechał do Lwowa. W mieście bezprawie, tysiące uciekinierów

przed Niemcami z całej Polski. Wiele ludzi rabuje transporty kolejowe. Na ulicach miasta cywilne grupy Ukraińców i Żydów z czerwonymi opaskami zatrzymują polskich żołnierzy, zabierają broń, pasy, plecaki, niektórym buty saperki.

Na stacji PKP spotykam uciekinierki: lekarkę i dwie pielęgniarki z kolejowego szpitala w Brześciu nad Bugiem. Przyprawdzam je do domu, gdzie matka udziela im pomocy w dalszej podróży do Rumunii. Są to współpracowniczki doktorów: Leble, Turowskiego i Dąbrowskiego, kowelskich lekarzy. W domu przewijają się wielu polskich żołnierzy, którzy przebijają się w cywilne ubrania. Matka piecze kury, ja na rowerze odwożę na podane adresy. Nie wiem, kto tym kierował. Podejrzewam, że to ci, którzy w późniejszym czasie pomagali nam w ucieczce przed NKWD.

Ojciec powraca ze Zdołbunowa. Był tam jako konduktor transportu kolejowego. Odwiedza go zasłużony legionista pan Nieckula. Zaczęli niszczyć posiadane fotografie i dokumenty. Ojciec należał do Federacji Kolejowców Polskich. Zaczęli od wiszącego na ścianie, haftowanego złotymi nićmi orła, który był nagrodą Ojca. Został owinięty ceratą i włożony do słoja, który wieczorem matka zakopała w ogródku przed oknem. Wszystkie zdjęcia i pisma, za wyjątkiem metryk mamy, ojca i dzieci, zostały spalone.

16 września 1939 roku, ojciec uciekł z Kowla. Mama powiedziała, że żyje, ale daleko wyjechał.

Rano 17 września 1939 roku, zobaczyłem trzy samoloty, które leciały nisko. Na skrzydłach miały sowieckie gwiazdy i zrzucały ulotki nawołujące do buntu przeciw oficerom Wojska Polskiego i polskim panom. To jeszcze nie była ostatnia noc Wolności.



*Autor niniejszego wspomnienia w Kowlu. 1939 rok. Proszę zwrócić uwagę na szkolny mundur, a szczególnie na czapkę, gdzie udało mi się nosić orla i białoczerwony pasek do roku 1942*

Kiedy znalazłem się na ulicy Kołodniczej, zobaczyłem masę sowieckiego wojska. Przez połowę dnia szli żołnierze, którzy byli podobni do band. Różne czapki ze szpicami i gwiazdami, płaszcze na dole postrzępione, na plecach wiszące worki na sznurkach, nietypowe wielkie karabiny typu „Libela”, różne buty; brezentowe, walonki i kamasze.

Co jakiś czas na koniu jechał oficer. Na ulicy siedziałem około czterech godzin i nie widziałem żadnego samochodu.

Oficerowie byli bez dystynkcji, tylko na klapach płaszczy i marynarek posiadali kubiki, prostokąty, kwadraciki czerwonego koloru. Słży tysiące żołnierzy. Zrozumiałem, że bolszewicy napadli na Polskę, ale cieszyłem się, że to taka armia, z którą da sobie radę polski żołnierz.

Późnym wieczorem przy naszych domach zatrzymał się jakiś oddział sowieckiego wojska; zagrała harmoszka i usłyszałem śpiew:

*Jeśli zawtra wajna  
Jeśli zawtra pachod  
My siewodnia pachodu gatow  
Pomniął psy atamany  
Pomniął polskije pany  
Pomniął ruskije naszi sztyki.*

Zrozumiałem wtedy, że noc z siedemnastego na osiemnastego września 1939 roku, będzie moim ostatnim dniem Wolności.

*Ryszard Siewierski,  
Radom,  
marzec 2011 roku*

## Szczęśliwe dzieciństwo w Łucku



*Zamek Lubarta.*

*Na pierwszym planie dom babci Martyńskiej, w którym mieszkała rodzina Marcinkowskich*

Jestem synem Ziemi Wołyńskiej. Urodziłem się w Łucku 27 grudnia 1932 roku. Rodzina Marcinkowskich mieszkała w Łucku na ulicy Zamkowej, w domu mojej babci ze strony mamy. Ulica Zamkowa, która należy do Starego Miasta, nazywanego często Wyspą, ciągnie się wzdłuż murów zamku Lubarta, od wieży Władycznej do wieży Styrowej i kończy się wylotem na Styr. W czasach mojego dzieciństwa była ona typowym dla Wołynia przykładem spotkania różnych narodów, wierzeń i kultur. Żyli tu zgodnie obok siebie Polacy, Ukraińcy, Rosjanie i Żydzi.

Pierwszy dom w kierunku miasta zajmowała ukraińska rodzina Gruszynów. Babcia Gruszynowa bardzo mnie lubiła, gdyż przyjaźniłem się z jej wnuczetami Miłką i Szurką Dubniakami. Tuż za naszą posesją znajdował się domek Nadzieży Rybiowej. Jako mały chłopiec podziwiałem jej najstarszą córkę Lidkę, która później została aktorką. Ubierała się bardzo ładnie i potrafiła doskonale pływać w Styrze. Dalej mieszkał wraz z rodzicami mój serdeczny druh Tadzio Skwarek, z którym spędzałem miło czas na zabawach na nadrzecznych łąkach. W słoneczne popołudnie u podnóża góry zamkowej ciągnęła w pyle swój wózek żona żydowskiego stolarza Lepcia Lemera, zwana przez nas Maślanką, gdyż handlowała masłem. Z kolei u brata Lepcia, Lejzora Lemera, mama zawsze kupowała mleko, jajka i kury. Jeśli dobrze pamiętam, mieszkali tu też prócz nas jeszcze cztery polskie rodziny: Korabiowskich, Makarewiczów, Giergowiczów i Pieńkowskich oraz ukraińska rodzina Prońskich. Na ulicy Zamkowej więzy przyjaźni łączyły nie tylko dzieci. Odwiedzano się nawzajem i składano sobie życzenia z okazji świąt i ważnych uroczystości rodzinnych. Ludzie dobrze rozumieli, iż mimo różnic narodowościowych i kulturowych trzeba się szanować i wspierać nawzajem. Pełnej wzajemnego zrozumienia atmosferze sprzyjała mądra polityka długoletniego wojewody wołyńskiego Henryka Józewskiego.



Ze wzruszeniem wspominam teraz bliskie sercu zakątki Łucka i szczęśliwy dla mnie okres wczesnego dzieciństwa. Mój rodzinny dom znajdował się na ulicy Zamkowej w wyjątkowym miejscu – naprzeciw wieży Władycznej, na której stała budka strażacka. Tonął w zieleni bzów i jaśminów oraz róż i innych kwiatów, pieczołowicie pielęgnowanych przez babcię. Zaraz za nim rozciągały się łąki, a przecinało je koryto Głuszcza, przez mieszkańców nazywanego Żydówką. Gdy byłem dzieckiem, rzeczka zmieniała się po wybudowaniu wałów nad Styrem w wąski strumyczek, zasilający swą wodą staw tuż koło naszego domu. Brzegi strumyka łączył drewniany mostek, przez który wybiegałem na łąki, aby witać wracającego z pracy ojca. Staw był ulubionym miejscem naszych dziecięcych zabaw, a w okresie zimowym zmieniał się w miejską ślizgawkę.

Choć mocno kochałem mamę, największy wpływ na moje wychowanie i ukształtowanie mojej postawy wobec życia miał mój ojciec Jan Marcinkowski. Cieszył się on powszechnym szacunkiem i sympatią. Pracował jako sekretarz Sądu Okręgowego w Łucku. Był człowiekiem pogodnym i wesołym, lubianym w pracy i w Związku Strzeleckim, gdzie pełnił funkcję komendanta powiatowego. Lubił towarzystwo i miał wielu przyjaciół. Często gościli u nas jego znajomi, których zabawiał nie tylko rozmową, ale i opowiadaniem dyktoryjek, grą na mandolinie lub gitarze, śpiewem. Nad przygotowaniem wspaniałych przyjęć czuwała moja mama Olimpia Marcinkowska, która na co dzień pracowała jako referent w Wydziale Statystycznym Łuckiego Magistratu i zajmowała się mną oraz moją starszą o 11 lat siostrą Leokadią, córką ojca z pierwszego małżeństwa. Mama jako rodowita Wołynianka знаła mnóstwo smacznych potraw, gościom dopisywał za-



*W ogrodzie miejskim.*

*Jan i Olimpia Marcinkowscy wraz z dziećmi: córką Leokadią i synem Tadeuszem*



*Jan Marcinkowski  
prowadzi swój oddział ulicą Jagiellońską*



*Katedra w Łucku*

Wychowany przez ojca w kulcie Marszałka, wzięłem również tę drugą – o Kościuszcze, którego przecież byłem imiennikiem i chyba to imię nadał mi ojciec na jego cześć. Uśmiano się serdecznie z mojej zrozpaczonej miny i w końcu pozwolono na zabranie obydwu książek. Miałem je do chwili zesłania na Syberię.

Jako komendant oddziału strzeleckiego ojciec często odbierał dowody sympatii swoich podkomendnych i cieszył się uznaniem przełożonych, o czym świadczą otrzymane przez niego odznaczenia oraz wzmianki o jego działalności zamieszczone na łamach tygodnika „Wołyn”. Miłym przeżyciem, zapamiętanym przeze mnie z okresu dzieciństwa, były imieniny ojca. W tym dniu już o szóstej rano przychodziła pod nasz dom na ulicy Zamkowej orkiestra strzelecka i grała specjalnie dla solenizanta „Pierwszą Brygadę”. Ojciec wychodził do muzyków i częstował ich kieliszkiem wina lub wódki, a mama podawała zakąskę i ciasto.

Często w niedzielę wypływaliśmy z ojcem parostatkiem na organizowane przez Związek Strzelecki wycieczki Styrem do Boratyna, Targowicy lub Rożyszcza. Towarzyszyła nam w tych rejsach ta sama orkiestra. Gdy wchodziliśmy na pokład, grała zawsze ojcu

tem apetyt. W naszym domu zawsze było mnóstwo gwaru, radości, wesołego śmiechu, gdyż w Łucku mieszkała też rodzina ze strony mamy i ojca. Rosłem więc otoczony życzliwością najbliższych i przyjaciół domu.

Mój ojciec Jan Marcinkowski był gorącym patriotą. Szczególnym szacunkiem i podziwem darzył Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tę fascynację przekazał i mnie. Nas, swoje dzieci, starał się wychować w duchu patriotycznym. Dużo i często opowiadał mi o bohaterach narodowych, o wojnie 1920 roku i o Legionach. Przyniósł kiedyś do domu epidiaszkop i wyświetlał przeżrocza z widokami miast, m.in. Warszawy i Krakowa, scenami z historii Polski, a przede wszystkim ze zdjęciami Przywódców Państwa Polskiego i ze zdjęciami okresu walk o niepodległość. Często zabierał mnie na zbiórki oddziału strzeleckiego, którego był komendantem. W czasie jednej z takich wizyt od bibliotekarza w świetlicy otrzymałem do wyboru dwie książki, z których tylko jedną mogłem dostać. Pierwsza była o Marszałku Piłsudskim, druga o Tadeuszu Kościuszcze. Byłem w rozterce.

ulubioną „Pierwszą Brygadę”. Imponowały mi te wyrazy szacunku okazywane ojcu i byłem z niego bardzo dumny.

Z okazji święta 3 Maja i 11 Listopada chodziliśmy całą rodziną na defilady. Zazwyczaj w czasie defilad zatrzymywaliśmy się w tłumie na ulicy Jagiellońskiej, by podziwiać nie tylko oddziały stacjonującego w Łucku 24 Pułku Piechoty czy szwadrony kawalerii 19 Pułku Ułanów, ale zwłaszcza ojca maszerującego na czele swego oddziału strzeleckiego. W takim świątecznym dniu odprowadzałem zwykle ojca na zamek, gdzie zbierał się oddział, a potem biegłem krótszą drogą przez łąki, aby stanąć jak najbliżej trybuny usytuowanej koło soboru na placu Narutowicza i obejrzeć całą defiladę.

Jedną z defilad zapamiętałem szczególnie. Była to rewia wojsk biorących udział w wielkich manewrach na Wołyniu we wrześniu 1938 roku. Już w przeddzień defilady odbywały się uroczystości z okazji pobytu w Łucku marszałka Rydza-Śmigłego. Na stadionie społeczeństwo Wołynia wręczało armii zakupiony przez siebie sprzęt wojenny.

Naturalnie byliśmy z ojcem na tej uroczystości i widziałem wtedy marszałka. Następnego dnia już od rana wyruszyliśmy całą rodziną na ulicę Chrobrego, gdzie miała odbyć się defilada. Trybuna była usytuowana przy końcu ulicy i nie sposób było dostać się do niej. Stanęliśmy więc na odcinku między cmentarzem prawosławnym a Urzędem Wojewódzkim. Na ulicy Chrobrego zgromadziły się tłumy ludzi, więc kiedy zaczęła się defilada, ojciec wziął mnie na ramiona, abym mógł dostrzec jadącego w kierunku trybuny marszałka i później maszerujące oddziały wojska. Defilada trwała kilka godzin, a rozpoczęły ją pułki kawalerii, wzbudzając olbrzymi entuzjazm zebranych. Z podziwem patrzono na przejeżdżające wozy pancerne i tankietki oraz czołgi i artylerię. Na końcu maszerowała piechota. Pomimo upału i zmęczenia dotrwaliliśmy prawie do końca defilady. Szczególnie zmęczony był mój ojciec, bo prawie przez cały czas musiał trzymać mnie na ramionach.

Miło wspominam też nasze rodzinne niedziele. Rano po wspólnym śniadaniu udawaliśmy się wszyscy na mszę świętą do kościoła św. Piotra i Pawła. Białe mury Katedry wznoszą się tuż za zamkiem Lubarta. Z naszego domu było więc blisko do tej słynącej z cudownego obrazu Matki Boskiej Łatyczowskiej świątyni. Później odwiedzaliśmy rodzinę lub udawaliśmy się na spacer do ogrodu miejskiego czy na przystań nad Styrem. Kiedy przechodziliśmy przez pięknie ozdobiony popiersiami Słowackiego, Czackiego, Kraszewskiego i Sienkiewicza most Bazyliński, który znajdował się u wylotu ulicy Jagiellońskiej, mogłem mieć nadzieję, że odwiedzimy pobliską cukiernię, oferującą wyborne słodczyce.

Moje szczęśliwe dzieciństwo skończyło się w 1939 roku po wkroczeniu do Łucka sowiektów. Ojciec, który w 1920 roku brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, a w okresie międzywojennym był komendantem powiatowym Związku Strzeleckiego w stopniu porucznika, został w grudniu 1939 roku aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Łucku. Następnie przewieziono go do Kijowa, gdzie w maju 1940 roku został rozstrzelany i pochowany prawdopodobnie w Bykowni. Był wymieniony do rozstrzelania na tej samej liście co Ołena Lewczaniwska, senator Rzeczypospolitej Polskiej, której córkę Irinę Lewczaniwską poznałem, będąc na sesji naukowej w Łucku. Nas, to znaczy mamę, siostrę i mnie, w maju 1941 roku zesłano na Sybir do omskiej obłasti. Z nami wraz z żoną



*Most Bazyliński*

i córką został też wywieziony doktor Adam Wojnicz – znany i ceniony działacz społeczny i polityczny, autor publikacji dotyczących Łucka.

Przetrwaliśmy trudy deportacji i w grudniu 1944 roku szczęśliwie powróciliśmy do rodzinnego miasta. Nie na długo – już w sierpniu 1945 roku znów usadowieni w towarowych wagonach ostatnim spojrzeniem żegnaliśmy ukochane miejsca: wyniosłą sylwetkę zamku Lubarta, białe mury katedry, siwe zakola Styru i wiśniowe sady w głębi jarów. Wysiedleni z bliskiego sercu zakątka ziemi z każdym taktem kół zostawialiśmy za sobą wszystko, co znajome, kochane i drogie.

Nasz repatriacyjny transport skierowano na Ziemie Odzyskane. Moja rodzina po różnych perypetiach osiadła na stałe w Zielonej Górze. Tu ukończyłem szkołę, pracowałem, założyłem rodzinę. Ale nie zapomniałem o Ziemi Wołyńskiej. W miarę upływu czasu z coraz większą tęsknotą myślałem o mojej małej kresowej ojczyźnie. Zgromadziłem spory zbiór książek, widokówek, zdjęć, dokumentów i innych pamiątek dotyczących Wołynia. Nie opuszczała mnie też myśl o odwiedzeniu rodzinnych stron.

Za sprawą pani Walentyny Weremczuk, dawnej znajomej mojej mamy, mogłem w 1974 roku wraz z córką Małgorzatą po raz pierwszy wyjechać do Łucka. Córki pani Weremczuk – pani Łarysa Zełenow oraz pani Swietłana Kosołapowa opiekowały się nami i bardzo pomogły mi później w następnych wyjazdach na Wołyń. Zawsze serdecznie gościły mnie w trakcie kolejnych wizyt w Łucku. Z tej pierwszej podróży do Łucka przywiozłem kilka opracowań dotyczących mojego miasta i albumów prezentujących piękno Ziemi Wołyńskiej. W 1989 roku po chorobie przeszedłem na rentę, a później na emeryturę. W związku z tym mogłem więcej czasu poświęcić na zajmowanie się swoim Wołyniem. Dzięki temu wielokrotnie odwiedziłem Łuck i inne wołyńskie miasta oraz Kijów. Pozna-

łem wielu ciekawych ludzi, nie tylko Polaków, ale i Ukraińców. Uzyskałem wiele interesujących współczesnych materiałów dotyczących Wołynia oraz zostałem zaproszony na VI Ogólnoukraińską Konferencję pod hasłem „Historyczne Krajoznawstwo i potrzeba odrodzenia kultury wielowiekowych narodowych tradycji Ukrainy”, która odbyła się w Łucku w 1993 roku. Organizatorem konferencji była Łucka Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Łesi Ukrainki. Wygłosiłem referat na temat: „Łuck w polskiej literaturze krajoznawczej XIX i pierwszej połowy XX wieku”. Dzięki konferencji poznałem dwie osoby, które do dnia dzisiejszego pomagają mi w moich wołyńskich pasjach; gromadzą i przysyłają mi wszystkie książki, czasopisma i widokówki Wołynia. Są to: pan Waldemar Piasecki, historyk sztuki, nauczyciel, publicysta, autor artykułów i książek o Łucku, oraz pan Bogdan Kołosok, Dyrektor Instytutu Historii Architektury Ukrainkiej Akademii Nauk w Kijowie, autor szeregu ważnych publikacji dotyczących kościołów i architektury Łucka. Po konferencji zostałem szczerze obdarowany książkami przez autorów – uczestników tej konferencji. Korzystałem z życzliwości moich przyjaciół na Ukrainie, ale też w miarę możliwości starałem się pomagać im w różnych sytuacjach, na przykład w 1994 roku na prośbę pana Anatolija Syluka, dyrektora Wołyńskiego Muzeum Krajoznawczego w Łucku, odszukałem w Polsce materiały dotyczące profesora Stefana Macko, botanika, którego zbiory, zielniki flory Wołynia z okresu międzywojennego zachowały się i są obecnie własnością muzeum. Było mi niezmiernie miło, gdy powierzone mi przez syna profesora dokumenty, fotografie, artykuły i książki mogłem oglądać na wystawie w maju 2009 roku, kiedy kolejny raz odwiedziłem Łuck zaproszony na konferencję naukową z okazji rocznicy utworzenia Wołyńskiego Muzeum Krajoznawczego. Wygłosiłem na niej referat „Wołyń – Moja Mała Ojczyzna”. Wcześniej wziąłem też udział w uroczystości wmurowania pamiątkowej tablicy na ścianie kościoła św. Piotra i Pawła, upamiętniającej ofiary bombardowania katedry w maju 1944 roku. Poznałem wówczas prezesa Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. Ewy Felińskiej pana Walentego Wakoluka oraz panią Julianę Makowską, która bardzo pomogła mi w odnalezieniu ważnych dla mnie miejsc w Łucku.

Na Ziemię Odzyskaną przywiozłem w bagażu pamięci miłość do mojej Arkadii dzieciństwa – ukochanego Wołynia. Wierny rodzinnej ziemi staram się poprzez publikacje oraz wystawy prezentować jej historię, kulturę i niepowtarzalny urok. W 2000 roku byłem organizatorem autorskiej wystawy „Wołyń – podróż sentymentalna”, która została zaprezentowana w Zielonej Górze, a następnie w Warszawie. Brałem też udział w wystawach: „Wołyń – ocalić od zapomnienia” (Warszawa 1997), „Henryk Jan Józewski. Polityk. Artysta. Malarz” (Warszawa 2002) oraz „Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej Polskiej małą ojczyzną wielu narodów” (Zielona Góra 2008). Zwieńczeniem każdej ekspozycji było wydanie upamiętniającej dzieje Wołynia publikacji w formie albumu bądź folderu. Wiele zgromadzonych przeze mnie materiałów dokumentuje opracowania innych autorów dotyczące Wołynia oraz ilustruje artykuły w pismach poświęconych Ziemi Wołyńskiej, a zdjęcia i pocztówki z mojej wołyńskiej kolekcji można znaleźć w pięknie wydanych albumach.

Mimo upływu lat ciągle pozostaję pod urokiem rodzinnego miasta, ciągle żywiej bije serce na wspomnienie szczęśliwych chwil spędzonych w cieniu wieży Władycznej zamku Lubarta. Mam zatem jeszcze jedno coraz mocniej powracające marzenie – by

mieszkańcom Ziemi Lubuskiej, na której osiedliła się spora grupa Polaków z Kresów Wschodnich, przypomnieć kulturowe bogactwo i malownicze piękno dawnej stolicy Wołynia, by pokazać dzieje miasta istotnego w naszej historii, które w murach potężnego zamku gościło najważniejszych monarchów średniowiecznej Europy i było kolebką talentów tej miary co Alojzy Feliński czy Gabriela Zapolska. Jak dobrze byłoby jeszcze raz nacieszyć oczy pejzażami z zamkowej wieży, jak dobrze byłoby odpocząć w cieniu wiekowej Katedry, usłyszeć dźwięk znajomych kroków na moście Bazylikańskim, poczuć zapach łąk nad Styrem, zagubić się w bieli wiśniowych sadów i choćby mocą pamięci powrócić do ukochanego Łucka.

*Tadeusz Marcinkowski,  
Zielona Góra, Polska,  
2011 roku*



# Moje wołyńskie dni

## 1. 1940 rok. Ucieczka przed deportacją. Pomoc wysoko postawionego komunisty.

Białostok. W październiku 1939 roku płonęły zabudowania gospodarcze. W dniu 22 października 1939 roku Honczarow, nasz bliski sąsiad, a mój mistrz w wędkowaniu, wybrany został na posła do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy. Na przełomie 1939–1940 w naszym domu zorganizowano „Wiejską służbę zdrowia”. Zamieszkała lekarka z pielęgniarką – specjalistki ze Wschodu. W dniu 21 stycznia 1940 roku Ojciec został aresztowany, a w dniu 13 lutego 1941 roku skazany w Łucku wyrokiem sądu nr 74 na 10 lat pracy na Dalekim Wschodzie oraz pozbawiany praw na 5 lat. Mieszkaliśmy w jednym pokoju z kuchnią z odrębnym wejściem. Honczarow wizytował ośrodek i przy okazji przekazał nam w wielkiej tajemnicy, informację: przygotujcie się do deportacji. Uciekliśmy w nocy, każdy oddzielnie. Mieszkaliśmy osobno bez zameldowania w Usiczach i w Łucku.



*Leon Bujalski z rodziną. Białostok, 1924 rok*

## 2. 1941 rok. Powrót i kontrowersyjne uwarunkowania.

W pierwszych dniach lipca 1941 roku spotkałem się z Mamusią na Budkach Usickich. Wyruszyliśmy w podróż do Białostoku. Tej pieszej podróży nigdy nie zapomnę. Do dziś uważam tę wędrówkę za najszczęśliwszą w życiu. Byłem dostrzeżony, obdarzony zaufaniem, miłością. Czuję radość.

Po drodze spotykaliśmy policję ukraińską z żółto-niebieskimi opaskami na rękawach. Szybko i bez przeszkód dotarliśmy przed dom rodzinny. Zbliżaliśmy się pełni napięcia. Z wielkim uniesieniem patrzyłem na dom i dziwiłem się, że jest on taki samotny. Na szczęście drzwi były otwarte. Wchodziliśmy z duszą na ramieniu. Było pusto, cicho. Panował bałagan. Domyślaliśmy się, że byli mieszkańcy opuszczali nasz dom w pośpiechu, a sąsiedzi dokonali przeglądu pozostawionych rzeczy. Widząc część mebli byliśmy bardzo szczęśliwi i wzruszeni. Nareszcie będziemy już razem i zorganizujemy spokojne życie. Tu na pewno nic złego już nas nie spotka. Wyszliśmy na zewnątrz i oglądaliśmy otoczenie domu: wiśnie, jabłonie, śliwę, gruszę, agrest. Mama pokazywała ukryte gniazda ptaków. W miejscu, na którym dawniej stały zabudowania gospodarcze, zobaczyliśmy ogródek warzywny i duży zagon cebuli.

Byliśmy mile zaskoczeni odwiedzinami najbliższych sąsiadek Ukrainek, Siemieniukien i Ireny Mielniczuk. Z koszyków wykładały na stół: mleko, chleb, słoninę i inne artykuły niezbędne w najbliższych dniach. Rozpoczęły się rozmowy o przeszłości. Później odwiedzali nas dalsi sąsiedzi. Zwracali wyposażenie domu, krowę, owcę a nawet kilka kur. Obecność sąsiadów i ich serdeczność, wrażliwość przekonała nas, że tu teraz będziemy żyć jak dawniej.

W nowych uwarunkowaniach okazało się, że nasze codzienne życie, jedynej rodziny polskiej, stawało się z każdym dniem trudniejsze. Przywódcy miejscowi zabronili udzielania nam jakiejkolwiek pomocy. Chociaż odczuwaliśmy brak pieniędzy i wsparcia, budowaliśmy samodzielnie przyszłość. Czasem pomagali Polacy z Jamek, szczególnie przy pracach wymagających zaprzęgu konnego. Efekty napełniały nas nadzieją, że pomimo chwilowych trudności zapewnimy sobie niezależność i bezpieczną przyszłość.

Przypadkowo spotkaliśmy Bogdana Miklera, dalekiego kuzyna. Podczas przyjacielskiej rozmowy Mamusia przedstawiła naszą sytuację. Zwierzyła się z pragnienia posiadania prosiaka. Rozstaliśmy się. Następnego dnia, bez zapowiedzi, kuzyn przyjechał do nas i przywiózł wymarzone prosię. Wręczając powiedział: „Rozliczymy się, jak nadejdą dobre czasy”. To wydarzenie potwierdziło, że są jednak osoby wrażliwe na ludzkie potrzeby.

Kilka miesięcy później, w pochmurny dzień, przechodziłem obok zabudowań sąsiada. Stał tam syn gospodarza z grupą miejscowych rówieśników. Zatrzymali mnie. Najstarszy, wskazując na jednego z nich, powiedział: „Przeprowadź ćwiczenia i pokaż swą moc wyzwolonego Ukraińca. Przecież jest tu Samostijna Ukraina”. Ze strachem zaproponowałem: „Niech mnie ćwiczy, ale warunek honorowy wyzwolonych Ukraińców – zebrani nie będą się wtrącać”. Propozycję przyjęto bez sprzeciwu. Wybraniec z długą różgą rozpoczął ćwiczenia. Podczas pierwszego uderzenia wyrwałem mu różgę i zapytałem: „A teraz co dalej”. Nastąpiła konsternacja. Wszyscy milczeli. Na twarzach widziałem wrogość i zaciśnięte wściekle usta. Rzuciłem różgę pod nogi i odszedłem bez słowa, ale z obawą, że może teraz nastąpić zbiorowy atak. Śmiałkowicie jednak stali w milczeniu, a ja spokojnie dotarłem do domu.



*Wesele Matwiejczuka.*

*Antonina i Zbigniew Bujalscy po obu stronach młodej pary. Białostok, 1936 rok*

Starsi sąsiedzi wykazywali niezadowolenie z postanowień miejscowych przywódców o nieudzielaniu nam pomocy. Natomiast młodzi miejscowi aktywiści często śpiewali: „Śmert, smert Lacham, smert żydowsko-moskowskij komunie”. Udawaliśmy, że nie słyszymy. Dla podkreślenia radości mieszkańców z budującej się „wolnej Ukrainy” na południowo-zachodnim krańcu wzgórza, niedaleko cerkwi, mieszkańcy usypali ziemny kopiec (kilkunastometrowa, zmniejszona wersja pomnika Kościuszki w Krakowie). Każdy mieszkaniec był zobowiązany pracować przy budowie. Również uczestniczyłem w tej akcji. Byłem przy poświęceniu pomnika. Później wchodziłem na szczyt i oglądałem miejscową panoramę. Po 1945 roku zniknął.

### 3. 1942 rok. Problemy z gryzoniami

#### A. Walka z gryzoniami

Wiosną nocowało u nas małżeństwo. Po przespanej nocy poproszono mnie na rozmowę. Wskazując palcem na buty z cholewami zapytano: „Dlaczego posmarowałeś załamania butów pastą do zębów?” Odpowiedziałem: „Ja tego nie zrobiłem. To zrobił szczur”. Wskazałem na dziury w podłodze wygryzione przez gryzone. Nieufnie przyjęto moją odpowiedź. Podczas posiłku sprawdzano mą prawdziwość. Mamusia potwierdziła istnienie gryzoni. Niezadowoleni z uszkodzonych butów goście szybko opuścili nasz dom. Problem pozostał. Nocą powstawały w podłodze nowe otwory, a gryzone nadal atakowały. Często spędzaliśmy je z łóżka. Wiadomość o pladze rozeszła się. Po kilku dniach przedstawiono nam ludowy sposób pozbycia się gryzoni.

Po rozpoznaniu przystąpiliśmy do czynu: Pozatykaliśmy wszystkie dziury w podłodze, pozostawiając jeden otwór, przy którym postawiłem kolek do szybkiego zamknięcia drogi odwrotu gryzonia. Aby usłyszeć, że szczur pałaszuje słoninę w kredensie, przygotowaliśmy sygnalizator. Między dwoma talerzami umieściliśmy mały kamyczek, a na górnym talerzu kawałek słoniny. Na płycie kuchennej położyliśmy długi drut, a w palenisku drewno do jego zapalenia. Czekaliśmy na sygnał z kredensu. Około północy usłyszeliśmy hałas. Alarm. Natychmiast zatkałem otwór w podłodze. Mamusia rozpałała lampę naftową i ognisko na płycie kuchennej. Przy świetle lampy naftowej ja z siostrą,

zaopatrzeni w kije, worek i sznurek, udaliśmy się do pokoju z zamiarem schwytania żywego gryzonia. Wystraszony szczur rozpoczął ucieczkę. Biegał po pokoju, skakał do okna, chował się, aż się zmęczył i znalazł w worku. Następnie związaliśmy gryzonia sznurkiem, wypaliliśmy mu oczy i wepchnęliśmy do otworu w podłodze. Natychmiast usłyszeliśmy pisk, stukanie – larum. Przed świtem zapanowała wyjątkowa cisza. Gryzone się wyprowadziły. Wędkarze



*Nauczyciele i uczniowie. Białostok, 1938 rok*



*Jamki wzgórza, na których urodziłem się (prawe)  
i gdzie krowa uratowała mi życie (lewe) w 1943 roku*



*Jamki wzgórz z krzakami, przy których  
mieszkalem w latach 1942–1943*

widzieli, jak bardzo duża grupa szczurów płynęła rzeką w kierunku młyna. Nareszcie był spokój w domu.

### **B. Przymusowa zmiana miejsca stałego zamieszkania**

Trzy duże gospodarstwa obok siebie położone (Dulskiego, Bujalskiego i Krutia) nie były racjonalnie wykorzystywane. Dlatego w 1942 roku administracja niemiecka rozpoczynała przygotowania do zorganizowania w Białostoku dużego gospodarstwa „Liegenschaft”. Poproszono nas o przeprowadzkę z Białostoku do Jamek. W przypadku odmowy miano wydać nakaz. Zaproponowano kilka opuszczonych zabudowań ponemieckich, w tym na północnym wzgórzu, obok trzech rodzin ukraińskich. Wybraliśmy to miejsce, ponieważ było położone najbliżej zabudowań Polaków. Pogoda była wspaniała. Gdy administracja niemiecka przystąpiła do tworzenia gospodarstwa, my byliśmy już przygotowani do przeprowadzki. Przyszli pracownicy nowo powstającego gospodarstwa wprowadzali się do naszego mieszkania. Po rozładowaniu swego wyposażenia, pomagali nam w transporcie naszego na Jamki. Przeprowadzka odbyła się bardzo szybko i sprawnie. Przy okazji poznaliśmy prawą społeczność. Wszyscy byli zadowoleni.

Polacy, pracownicy nowo powołanego gospodarstwa, którzy zamieszkali w naszym domu w Białostoku, zostali w 1943 roku zamordowani i spaleni. Z około 50 osób uratowało się tylko dwoje dzieci: sześciolatek chłopiec i dziewczynka. Wymknęli się i schowali w agrestie. Następnego dnia pracownicy gospodarstwa, zaopiekowali się dziećmi i odwieźli je do Torczyna. Dalszy ich los nie jest mi znany.

Obecnie w miejscu opisanej tragedii, stoją skromne budynki, w których mieszkają Ukraińcy. Twierdzą oni, że nic nie wiedzą. W 2007 roku podczas rozmowy z panią Marią Kondratowicz, najstarszą mieszkanką Białostoku i synem Siemienika ustaliłem, że szczątki spalonych ofiar zostały wrzucone do piwnicy i nadal tam spoczywają.

### **C. Samoleczenie metodą ludową**

Po przeprowadzce na Jamki uformował się u Mamusi na prawej łopatce wielojądrowy wrzód, a u mnie pokazał się liszaj na prawej powiece. Do lekarza daleko i brak pieniędzy.

Mamusia cierpiała, a ja, kilka razy dziennie, przykładałem rozcięte listki kaktusa. Po każdym przyłożeniu zmniejszał się ból, a skóra białała i pękała nad czopami. Ciało się opuszczało (czasem wyciskałem). Po kilkunastu dniach wrzody zniknęły.

Liszaj rozszerzał się i zbliżył się do brwi. Na moje szczęście dostrzegła to najbliższa sąsiadka, najstarsza i darzona dużym szacunkiem – Ukrainka. Zaleciła mi leczenie ludową metodą. Przez kilka dni bałem się rozpocząć wykonania „ludowego leczenia”, ponieważ budziło wewnętrzne wątpliwości. Jednak zachęcony przez Mamusię przystąpiłem. Przez kilka dni wychodziłem do zagajnika i oceniałem kał. Miał być koloru żółtego, zmasowany i uformowany na kształt kielbasy. Gdy okazał się zgodny z zaleceniem, przez trzy kolejne dni, patrząc w lusterko smarowałem powiekę i nie myłem twarzy. Liszaj zniknął po trzech dobach. Dziś mile wspominam i wierzę w doświadczenia ludowe.

#### **4. 1942 rok. Likwidacja Żydów w Torczynie**

Byłem naocznym świadkiem rozstrzeliwania Żydów. W ciepły i słoneczny dzień 1942 roku udałem się do po lekarstwa Torczyna, do apteki obsługiwanej przez Żydówkę. Na ladzie położyłem receptę i 500 karbowańców. Otrzymałem lek. Wydano resztę wraz z



*Kirkut w Torczynie. Miejsce zagłady Żydów*



*Pan Konwałuk,  
wójt gminy Torczyn. Lata 1941–1943.  
Ze zbiorów muzeum*



wpłaconą kwotą. Na zwróconą uwagę zostałem skarcony. Nakazano mi natychmiast opuścić aptekę. Wyszedłem z uczuciem dziwnego niepokoju. Od rówieśników dowiedziałem się, że planują likwidację getta, na kirkucie jest już przygotowane miejsce. Odnosząc do domu lekarstwo zajrzałem na kirkut. Zobaczyłem olbrzymie dwa puste świeżo wykopane doły.

W domu zjadłem posiłek. Ukradkiem udałem się z dwoma kolegami na wzgórze, na którym położone było gospodarstwa Sz wajkowski ego. Usiedliśmy w krzakach, skąd oglądaliśmy panoramę Torczyna. Widzieliśmy drogę prowadzącą na kirkut. Z otwarty mi ustami przyglądaliśmy się, jak policja ukraińska eskortowała Żydów maszerujących czwórkami. Przemierzali swą ostatnią drogę otoczeni policją i psami. Rozgrywał się przed nami dramat. Nie dowierzaliśmy, że jesteśmy świadkami okrutnej zbrodni. Nie rozumieliśmy tego, co się działo. To przecież ludzie. Nie docierało do mojej świadomości to, co widziałem. Była to jednolita masa ludzi. Niemal wszyscy z pochylonymi ku ziemi głowami. Najbliżsi trzymali się za ręce. Z tej odległości nie było sły chać lamentu i płaczu, ale unosił się dziwny szum – wrzawa powstała ze zmieszanych głosów ludzkich – pisk, szwargot, ujadanie psów. W pewnym momencie jeden młodzieniec zaczął uciekać biegnąc zygzakiem, a ochrona popisywała się umiejętnością strzelania. Przed kirkutem zatrzymano pochód. Po kilka osób podchodziło do krawędzi dołu, a policjanci z bliskiej odległości strzelali w tył głowy. Ofiary padały do dołu. Widząc tę tragedię nie wytrzymałem. Uciekłem do domu.

Po kilku dniach w drodze do Torczyna zatrzymałem się przed kirkutem i obejrzałem zaschnięte ślady krwi. W miejscu grzebania Żydów powstało dwumetrowe wzniesienie. Z jego wierzchołka wypływała stróżka krwi o długości ponad 150 m. Widok był przerażający. Kadry z tego wydarzenia wywarły olbrzymi wpływ na mą psychikę i towarzyszą mi przez całe życie. Przez długi okres nie mogłem usnąć. Obecnie często wracam pamięcią do przeszłości i nie mogę zrozumieć, jak i dlaczego doszło do tej tragedii oraz jak olbrzymią moc ducha posiadali Żydzi, którzy idąc na śmierć zachowali swą godność ludzką i pozorny zewnętrzny porządek.

## **5. 1943 rok. Ucieczka do Łucka (zainspirowana przez prawego nacjonalistę). Pomoc krowy w ucieczce przed traumą**

Obowiązki wójta gminy Torczyn pełnił pan Konwaluk. Znany był powszechnie z umiejętności wydawania obiektywnych ocen niemal w każdej sytuacji. Po zamordowaniu polskiej rodziny zamieszkałej na Jamkach i zapoznaniu się z „Dekalogiem Nacjonalisty” wśród Polaków narastał niepokój. Mamusia rozmawiała z wójtem o naszym bezpieczeństwie. Usłyszała: „Nie panuję już nad sytuacją. Proponuję natychmiast przenieść się do Łucka”. Następnego dnia rano załadowaliśmy na furmankę część dobytku i żywność. Przygotowaliśmy również do podróży krowę – naszą żywicielkę. Opuszczaliśmy kolonię Jamki. Mamusia z siostrą udały się w podróż na furmance, a ja wraz z krową wyruszyłem pieszo wybraną drogą na skróty. Wychodząc z podwórka nie odwracałem się. Odczuwałem żal za spokojnym życiem, które przez kilka miesięcy tu wiedziliśmy. Na wzgórzu przechodziłem obok zabudowań ukraińskich. Mijałem rówieśników, których tradycyjnie pozdrowiłem. W odpowiedzi usłyszałem: „Zariżem Laszka”. Przerwali dotychczasową



zabawę i gromadą z krzykiem zaczęli biec w moją stronę. Prerażony uderzyłem krowę szpicrutą i rozpoczęliśmy ucieczkę. Słyszałem za sobą tylko przeraźliwy wrzask i przekleństwa. Serce moje zaczęło walić tak mocno, jakby chciało za chwilę wyskoczyć z piersi. Uciekaliśmy, a ja, trzymając się za grzbiet krowy, ciągle popędzałem ją i kontrolowałem odległość dzielącą nas od napastników. Mój los zależał w tym momencie od sprawnego biegu bydłęcia i mojej wytrzymałości. Ten strach i posłusznie biegnąca krowa w konsekwencji pozwoliły mi oddalać się z szybkością, na jaką sam nigdy nie potrafiłbym się zdobyć. Pamiętam, ile wysiłku wkładałem w to, żeby być lepszym od napastników. Na szczęście tamci stawali się mniej hałaśliwi i odległość między nami rosła. Zasapany zwolniłem nieznacznie bieg. Odwróciłem się za siebie. Biegący z tyłu byli zmęczeni, nadal krzykliwi, ale pozostawali coraz dalej, aż zrezygnowali z dalszej pogoni. Ja jednak uciekałem nadal, aż do momentu, gdy oceniłem, że jestem już prawie bezpieczny. Zmęczony i przerażony dotarłem szczęśliwie na Budki Usickie, gdzie spotkałem rodzinę. Do dziś nie mogę pojąć, w jaki sposób Pan Bóg pozwolił mi wyjść szczęśliwie z tej przygody.

## **6. Lata 1943–1944. Ataki i ucieczka z Łucka**

A. W Łucku zabezpieczałem pokarm krowie, świniom i królikom. Podczas rutynowego pilnowania krowy, pasącej się przy szosie Łuck–Kowel, złapał mnie Ukrainiec i zaczął dusić, za to, że krowa pasła się w rowie przy polu napastnika. Od śmierci uratował mnie nadjeżdżający wojskowy samochód. Chwilowa nieuwaga napastnika umożliwiła mi ucieczkę. Po odbiór krowy udali się już dorośli.

B. Przejściowo mieszkalem na ul. Malinowe, gdzie nie było łazienki. Pewnego wieczoru kolejny raz wychodziłem po wodę. Zbliżyłem się do studni. Spuściłem wiadro. Po napełnieniu wiadra wodą, kręciłem korbą, linka nawijała się na bęben, widziałem już wiadro. Chwyciłem za pałąk, a w tym momencie poczułem na szyi ucisk silnych dłoni. Nie widziałem twarzy napastnika. Poczułem się bezsilny, ale trzymam wiadro. Brakowało mi powietrza. Napastnik zwolnił ucisk i zapytał: „Witek w domu?” Był, ale odpowiedziałem: „Nie ma”. Po kilkukrotnym ucisku, zwolnieniu i powtarzających się pytaniach padała zawsze ta sama odpowiedź. Napastnik zażądał zachowania w tajemnicy tego spotkania. Naturalnie zgodziłem się. Napastnik odszedł do zabudowań najbliższego sąsiada, ogrodnika Ukraińca. Wróciłem do mieszkania z wodą, ale byłem błądy i wystraszony. Opowiedziałem przebieg niezwykłego spotkania przy studni. Po powtórnym zrelacjonowaniu zdarzenia mój kuzyn Witek zgasił światło w swoim pokoju i uciekł przez okno wraz z dwoma przyjaciółmi. W późniejszym okresie aresztowano sąsiada wraz z kilkoma niezameldowanymi młodzieńcami. Z zabudowań wywieziono duży zapas uzbrojenia.

C. W 1944 roku przy młynie na Krasnym zobaczyłem żołnierzy polskich ładujących mąkę na samochód. Po krótkiej rozmowie upewniłem się, że są żołnierzami Wojska Polskiego. Miejsce zgrupowania – Kiwerce i okolice. 29 maja 1944 roku zostałem żołnierzem Wojska Polskiego. Byłem usatysfakcjonowany i szczęśliwy, że wraz z jednostką dotrę do wolnej Ojczyzny.



*Pozostała tylko studnia. Białostok, 2007 rok*

## 7. Zakończenie

Patrząc z perspektywy lat na rodzinną i własną przeszłość oraz teraźniejszość doznaję uczucia doświadczenia wielkiej przygody. Urodziłem się na Wołyniu. Tamta ziemia była mi „rajem i piekłem” Po mojej demobilizacji w 1945 roku, a ojca w 1946 roku, po wielu przeszkodach, rodzina była w komplecie. Nasze powitania odbywały się w atmosferze radości, satysfakcji i wdzięczności. Na wstępie uświadomiliśmy sobie, że obaj walczyliśmy w różnych armiach o wolną Ojczyznę, a straciliśmy ojcowiznę. Pogodziliśmy się z losem i nowymi uwarunkowaniami.

Uwolniliśmy się od strachu okupacyjnego, goryczy i uczucia rozżalenia nad sobą. Przedstawiliśmy się ze starych nawyków myślenia na nowe. Dostosowaliśmy swoje potrzeby do możliwości ich zaspokojenia. Podjęliśmy pracę zawodową, a ja jednocześnie uzupełniałem zaniedbania edukacyjne. Praca zawodowa i doskonalenie siebie dawały mi szczęście. Zbudowaliśmy nowe ognisko domowe. Jestem już emerytem. Od wielu lat interesuję się literaturą dotyczącą przeszłości, zdrowia, radości i spokoju w codziennym życiu. Jednocześnie staram się przekazać następnym pokoleniom przeszłość widzianą przez pryzmat miłości i prawdy.

*Ryszard Bujalski,  
Lublin,  
2011 rok*

## Wołyńska nostalgia

Jestem Wołynianką.

Wychowywałam się wśród cudownych, wołyńskich krajobrazów, w kresowym, patriotycznym domu moich Dziadków Pauliny i Franciszka Czyżewskich, w Podhajcach, dlatego też chcę opowiedzieć o wsi wołyńskiej, aby ocalić od zapomnienia to, co bezpowrotnie zniknęło z wołyńskiego krajobrazu.



*Zdjęcie mojej wołyńskiej rodziny wykonane w Równem  
przy ulicy Pięknej 18 lub 19 latem 1942 roku.*

*Siedzą po środku: Dziadkowie Franciszek i Paulina Czyżewscy. Stoją od lewej: Rodzice Antoni i Bronisława Bała. Koło Dziadka stoi Danuta, córka Andrzeja i Bronisławy.*

*Z prawej stoi obca osoba, pani Graczykowa z Równego*

Ponieważ nie znam wszystkiego, pragnę ukazać jedynie częściowo wiejskie realia. Dlatego ograniczę się tylko do gospodarstwa Dziadków.

Opisuję to, co latami słyszałam od rodziny, mojego Dziadzia, świetnego narratora, który potrafił tak plastycznie opowiadać, że jak żywe wydawały się nam sceny z Wołynia. Będzie to też relacja z moich „doświadczeń”, tzn. to, co widziałam sama wokół siebie. Byłam dzieckiem, a pamięć dziecka stanowi zagadkę, którą chcą zgłębić naukowcy, bo bardzo często dziecko zapamiętuje nawet to, co „umknęło” uwadze dorosłych.

Ktoś powiedział: „Czas zaciera wszelkie ślady” – tych jednak nie sposób zatrzeć. „Idąc” więc po starych śladach, dzielę się znanymi mi realiami.

Według spisu ludności z lat trzydziestych ub. wieku wynika, że najwięcej ludności mieszkało na wsiach, bo aż 79, 4% Wołyniaków zajmowało się leśnictwem i rolnictwem.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, na Wołyn zaczęli przybywać osadnicy wojskowi i cywilni z różnych regionów Polski, a nawet z innych krajów. Ludzi przyciągały

rozległe przestrzenie, urodzajne ziemie, bogate lasy i urokliwe krajobrazy.

Ziemia Wołyńska była domem dla Ukraińców, Polaków, Żydów i innych nacji.

Te różne narodowości żyły w zgodzie ze sobą i w harmonii z urzekającą piękną przyrodą.

Ich dzieci siedziały w czteroosobowych, szkolnych ławkach, a w miastach stały obok siebie kościoły, prawosławna cerkiew czy też żydowska synagoga. Małe miasteczka były przeważnie opanowane przez Żydów, a oprócz typowych, polskich wsi (Dębowa Karczma) były całe kolonie czeskie (Malowana), niemieckie (najwięcej w okolicach Łucka), były też wsie ukraińskie i mieszane, tak jak Podhajce, w których mieszkaliśmy.

Zanim jednak zacznę opowiadać o naszej wsi, wrócę do wspomnień z Łucka.

Mieszkała tu liczna rodzina mojego Dziadzia. Na Święta Bożonarodzeniowe i Wielkanocne, zjeżdżały się do stolicy województwa nasze rodziny, zamieszkałe w różnych wołyńskich miejscowościach.

Zabierano mnie wczesnym rankiem na Rezurekcję w Katedrze. W czasie nabożeństwa kanarków. Mnie – dziecku, wydawało się, że to żywe ptaszki, bo nie tylko pięknie śpiewały, ale poruszały też skrzydełkami.

A prawda była taka, że organista uruchamiał urządzenie pneumatyczno-mechaniczne, które nie tylko wpuszczało powietrze do kilku wysoko brzmiących piszczałek, ale i poruszało skrzydełkami rzeźbionych w drewnie ptaszków.

Nasze Podhajce leżały w odległości ok. 3 km od miasteczka Targowica nad Ikwą, w gminie Jarosławicze powiatu dubieńskiego. Była to wieś ukraińska, w której żyło kilkanaście rodzin polskich.

Zabudowania Dziadków znajdowały się tuż przy bitym trakcie Łuck–Dubno, w pewnym oddaleniu od wsi i ukraińskiego chutoru. Obie te narodowości – Polacy i Ukraińcy ze wsi i chutoru – szanowali się nawzajem. Chrztili i żenili swoje dzieci, byli dla siebie świekrami i kumami. Zdarzały się bardzo często małżeństwa mieszane. Sąsiedzi zapraszali się w gości przy różnych okazjach, a także w czasie świąt katolickich i prawosławnych.

Wieczorami, po ciężkiej pracy zbierali się na tzw. „wieczórki”, rozmawiali ze sobą serdecznie, ale najczęściej wieczorną ciszę urozmaicały piękne śpiewy w obu językach.



*Podhajecka służba leśna. Stoją od lewej: Rolko, Walawko, Jan (nieznany z nazwiska). Siedzą od lewej: nieznany, Stefan Czyżewski*



*Służba leśna przed budynkiem Leśnictwa  
we wsi Podhajce gm. Jarosławicze pow. Dubno, 1936 rok.  
Stoi od prawej: gajowy Walawko, po prawej ręce siedzącego – gajowy Rolko*

Ze wspomnień moich bliskich można było wywnioskować, że była to jakby „Arkadia”, beztroska wieś, ograniczona tylko przez prawa natury.

Na pewno, jak to bywa między ludźmi, zdarzały się też tu jakieś nieporozumienia, ale nie było tej nienawiści, którą „zaszczepili” mieszkańcom obaj okupanci. Najpierw w 1939 Sowieci rzucili między Polaków i Ukraińców iskrę niezgody, a gdy w roku 1941 przyszli Niemcy, to do tego tłącego się zarzewia nienawiści „dolali oliwy”.

Mój Dziadzio, Franciszek Czyżewski uczęszczał do carskiego gimnazjum (ur. w 1890 roku). Ten mądry, inteligentny, elokwentny, a zarazem bardzo skromny człowiek cieszył się wielkim szacunkiem rodziny, społeczności wiejskiej i władzy państwowej. Był urzędnikiem państwowym – zachował się oryginalny dokument. Wujek Stefan był leśnikiem, a Jan – należący do organizacji „Strzelec” – gospodarzem.

Dziadkowie posiadali 10 hektarów ziemi ornej, 2 hektary łąk i pastwisk, kilkumorgowy sad (z przewagą śliw), a w nim kilkadziesiąt uli, wiatrak do mielenia zboża (prowadziła do niego piękna aleja lipowa), olejarnię, a także wszelkie maszyny rolnicze czeskiej produkcji, zakupione w Równem.

Dziadzio był światłym gospodarzem. Stosował nowoczesne sposoby gospodarowania.

Korzystał ze Stacji Doświadczalnych. Siał wyselekcjonowane ziarno, aby zwiększyć plony; częściowo stosował nawozy sztuczne. Korzystał też z instruktażu, jak zagospodarowywać łąki i pastwiska. Stacja Ochrony Roślin przeprowadzała opryski, uczyła, jak szczepić drzewa owocowe i udzielała porad w zakresie zwalczania różnych szkodników.

Dziadzio przeżył 82 lata (zmarł w 1972 roku) i stale opowiadał, a mój mąż Stanisław, wiele z tego zanotował, dlatego też mogę to dokładnie odtworzyć.



Dziadkowie mieli dwa domy: stary z bali drewnianych ze słomianą strzechą i nowy (z 1936 roku) murowany, z dachówką w kolorze maków, a także kryte blachą budynki gospodarcze.

Za zabudowaniami były urodzajne pola. Na wołyńskich czarnoziemach dojrzewały zboża wyższe od roslęgo człowieka i mieniło się różnymi barwami „coś” jeszcze (były to chyba pola żółtego rzepaku i białej gryki z różowym odcieniem). Pola poprzecinane były szerokimi, zielonymi miedzami, na których z rzadka rosły grusze; najczęściej królowały na nich krzewy kolącej tarniny, rodzącej ciemnoniebieskie, cierpkie owoce, zwane tarkami. Czasem w polu stała samotna brzoza – płaczka. Polne drogi były obsadzone rosochaczymi wierzbami, a na rozstajach dróg stały drewniane krzyże.

Są to wspomnienia dziecięcej pamięci, a mnie przypomniał się taki epizod:

Biegałam po lesie i polach, a najbardziej lubiłam „sprawdzać” po deszczu, czy mi buty nie przeciekają. Gdy było ciepło, mogłam „eksperymentować” na bosaka. Wiadomo, jak wyglądałam, a szczególnie jak wyglądały moje nogi, gdy błoto zaschło. Nie pomagały żadne upomnienia, ale i z tym sobie poradzono.



*Bronisława Bała i córka Danuta.  
Równe, 1943 rok*

Przy domu rośło dużo słoneczników; gdy wybrano z nich ziarenka, pozostałość suszono i tym ostrym „środkiem kosmetycznym” szurowano mi nogi – nic przyjemnego! Nigdy nie dowiedziałam się, kto „wpadł” na taki „wspniany koncept”, ale okazał się on bardzo skuteczny, bo oduczono mnie nie tylko od „taplania się” w błocie, ale także omijania nawet najmniejszych kałuż.

Wracam jeszcze do naszych domów. W starym, w kuchni było klepisko, a moja Mama, gdy była młoda dziewczyną, maczała pędzel z trawy w wodzie z rozrobioną gliną i myła polepę. Do kuchni można było wejść, gdy glina wyschła. W kuchni nowego domu, była drewniana podłoga, ale tak jak i w starym, był tu piec chlebowy. Pieczony przez Babcię chleb, wypełniał przyjemnym zapachem dom cały.

Dzisiaj nie wyobrażamy sobie życia bez elektryczności, lodówek. A u mojej Babci, zawsze był świeży twaróg, masło, nie psuło się mięso. „Lodówka” była naturalna – ziemianka – wykopana w ogrodzie piwnica. Służyła do przechowywania mleka w „hładyżkach” (gliniane garnki) i innych produktów żywnościowych. Masło zawijano w liście chrzanu. Używano też do czegoś pokrzyw, a pamiętam to dobrze, bo moja ciekawość była „nagradzana” poparzeniem.

Zapomniałam o pokojach w starym domu. Były tam drewniane podłogi, a piece do ogrzewania były zbudowane z cegieł i na biało pomalowane. To źródło ciepła nosiło nazwę „gruba”.



Opisując wiejskie, wołyńskie realia, nie można zapomnieć o zimach. Nie ma porównania do tych polskich, gdy jeśli śnieg napada po kolana – już narzekamy.

A na Wołyniu?

Zasypywało wszystko; drogi, pola, lasy, domy po sam dach, a nawet komin w niskich chatach. Dwaj wujkowie, Jan i Stefan, zanim rozpoczynali odśnieżanie podwórza, musieli najpierw „uporać się” ze śniegiem, który „wdarł się” do sieni. Gdy już sień była wolna od śniegu, kopali „tunele” przez podwórze, aby dostać się do obory, stajni, kurnika, stodoły. Gdy już „szlaki” na podwórzu były „przetarte”, szło się do „chudoby” jak kanionem, bo po obu stronach ścieżek piętrzyły się zwały śniegu, przekraczające swoją wysokością najwyższego człowieka.

Nie mogę tu zapomnieć sanny, gdy każdej niedzieli jechaliśmy saniami do kościoła w Targowicy. Czasami do Jałowicz, gdy droga była bardziej przejezdna. W Targowicy proboszczem kościoła pw. Matki Boskiej Różańcowej, był ks. Fijałkowski. Był on częstym gościem w naszym domu. Lubił dyskutować z inteligentnym gospodarzem. Opowiadał też różne anegdoty, które wykorzystywał w swoich ciekawych i mądrych kazaniach. Był smakoszem miodu z naszej pasieki. Lubił też przyrządzane przez Babcię potrawy, a gotowała wyśmienicie, bo była przed I wojną światową, szefową kuchni w kasynie oficerskim w Łucku. Podobnie jak my, tak i ksiądz Fijałkowski polubił babciny „wynalazek”. Babcia kroїła do miseczek cebulę w plastry, soliła i zalewała świeżym olejem rzepakowym z naszej olejarni. Jakież to było jadlo! Wspaniały smak! Pamiętam jeszcze tęczową barwę oleju!

Babcia miała warsztat tkacki. Tkiała piękne kilimy. Pewnego razu targowicki proboszcz przyniósł „święty obrazek”, a „domorośla artystka”, taki sam duży obraz, utkała z kolorowej, wełnianej przędzy.

Widziałam ten mój ukochany Wołyń szczerymi oczami dziecka. Cokolwiek robię, tymi samymi oczami widzę urokliwe krajobrazy mojego dzieciństwa.

Wołyń to moje życie, moje tęsknoty, moja miłość.

Łza się w oku kręci, gdy to wszystko wspominam, a moja wołyńska nostalgia będzie ze mną do końca moich dni.

*Moja Mała Ojczyzno  
nad Ikwą, Styrem, Horyniem.  
któż mi pokaże  
piękniejszą Krainę?  
Urokliwsze krajobrazy?  
Żyźniejszą ziemię?  
I bogatsze lasy?  
Moja Mała Ojczyzno  
dawno się z Tobą rozstałam,  
ale nadal jesteś mi Droga  
moja Kraino ukochana.  
Chciałabym Cię odwiedzić  
lecz czy będzie mi to dane?*

Jestem dumna, że pochodzę z bogatej, uroczej Wołyńskiej Krainy, przez lata należącej do Polski i tak wiele znaczącej nie tylko dla niej, ale i znanej w świecie.

*Danuta Bałówna-Siwiec,  
Sławno,  
marzec 2011 roku*

## Do Ziemi Wołyńskiej

Ziemia Wołyńska, ponad wszystko droga!  
Przez moje usta przemów Ty do ludzi.  
Pieśń ma o Tobie, choć może uboga,  
Niech pragnień siłą – śpiące serca zbudzi.

Pola Twe żyzne i bory szumiące,  
Nad rzeczulkami masz łąki kwieciste,  
Sady wiśniowe tam miodem pachnące,  
W skwarze południa powietrze przejrzyste.

Wody Twe ciche, w niebo zapatrzone,  
W ramę szuwarów, jak w rzęsy ujęte.  
Kościoły, dwory – starością omszone,  
W których są cuda piękności zaklęte.

One to stały na straży polskości  
Wichrom odporne, jak głąz niewzruszone.  
Tam nie wygasał nigdy ideał wolności,  
Sny o potędze dla Polski marzone.

Historia Twoja piękna jest i krwawa.  
Hordy tatarskie niosły śmierć, pożogę,  
Ty zaś rycersko kryłaś serca trwogę  
Walcząc zwycięsko. Niech Ci będzie sława.

Pieśń ma o Tobie, Choć może uboga,  
Niech pragnień siłą śpiące serca zbudzi;  
Przez moje usta przemów Ty do ludzi,  
Ziemia Wołyńska, ponad wszystko droga!

*Zofia Peretiatkowicz,  
1938 rok*



# Mój wołyński dzień



Stowarzyszenie Kultury Polskiej im. Ewy Felińskiej na Wołyniu  
ul. Kryłowa 5/7, Łuck 43025, Ukraina,  
tel.: +38 0332 72-54-99  
doboszw@gmail.com

 **Monitor**  
Wołyński

Monitor Wołyński  
Polsko-ukraiński dwutygodnik  
[www.monitor-press.com](http://www.monitor-press.com)  
[info@monitor-press.com](mailto:info@monitor-press.com)

